

„Bluszcz”

Najobszerniejszy najpoczytniejszy organ tygodniowy, literacko-społeczny
illustrowany dla kobiet.

Pod kierunkiem literackim **Zofii Seidlerowej**

Wydawca **Piotr Łaskauer.**

BLUSZCZ pomieszcza artykuły społecznej i literackiej treści pierwszorzędnych piór, poruszające najżywotniejsze sprawy społeczne, w roku 1907 między innymi pomieści: *J. Chrzanowski*, Studium literackie. *A. Kraushar*, flutorskie prawa Kl. Tańskiej. *K. Zalewski*, Powstanie z roku 1863. *M. Gawalewicz*, Bez celu — powieść. *K. Drucki-Lubecki*, Trębowa dramat. *A. Augustynowicz*. *Z ciemni*. *C. Walewska*, Dwa obozy i wiele innych.

BLUSZCZ Dział Mód i gospodarstwa domowego powiększa.

PODWÓJNY DODATEK MÓD

dodawany będzie co drugi numer w celu rozszerzania działów:

UBIORY DLA DZIECI.

Krój sukien i bielizny, hafty, gipiury, monogramy, roboty drutowe, roboty koronkowe.

3000 najświeższych wzorów: sukien, okryć, kapeluszy, robót ręcznych powyższe działy objaśniają.

Bluszcz daje jeszcze 26 wielkich tablic krojów, które tak dokładnie objaśniają, że dają możliwość wykończania w domu wszystkich części ubrania dla kobiet i dzieci; bielizny męskiej i dziecięcej.

„**BLUSZCZ**” kosztuje w Warszawie rocznie rb. 7 k. 20, półrocz rb. 3 k. 60, kwart. rb. 1 k. 80; z przes. poczt: rocz. rb. 10, półrocz. rb. 5, kwart. rb. 2 k. 50. Najlepiej zamawiać:

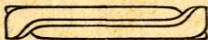
Administr. „Bluszczu”. Nowy-Świat 41 w Warszawie.
Prospekty na żądanie przesyła się gratis i franco.

Wila Zyndram-Kościółkowska.

SZKICE LITERACKIE.

I.

IGNACY CHODŹKO.



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.
1907.

242



59615 / 1

Henrykowi Pusbaumowi.

Grodno — Warszawa

1886 — 1906.

K-21/76/01946

Będziesz żyć póty, póki Litwa żyje.
Wład. Syrokomla.

I.

Było to w Wilnie, w 1857 r. Lato dobiegało do końca, a dzień 31 lipca, na jednym z uroczych przedmieści Wilna, Popowszczyzną zwanem, obchodzono świątecznie, w skromnym, na polu wiejskim dworku. Miłych sobie gości podejmował Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz). Z czarką, w której miód litewski kipiał, zbliżył się do najdoszajniejszego znać w tem gronie, do starca o srebrzystych włosach, odgarniętych z wysokiego czoła, o oczach, których pogodę przed niedawnymi dopiero czasy zaćmił najboleśniejszy z ciosów, strata jedynej córki. Winszował mu imienin naprędce zaimprovizowanym wierszykiem:

„Sto lat ci życzy...”

A gdy na zakończenie ze zwykłą sobie skromnością zawołał:

„Ojca nam potrzeba!”

obecni zawtórowali mu jednogłośnie:

„Niech stary Chodźko nam pobłogosławi!”

Solenizantem bowiem, którego sześćdziesiąte piąte imieniny obchodzono w 1857 roku, w Wilnie, na Popowszczyźnie, w skromnym mieszkaniu Syromkli, był Ignacy Chodźko, weteran wielkiej armii pisarzy naszych, z pierwszej połowy bieżącego stulecia, ulubieniec współczesnych, kochanek Litwy. Zapatrzone w nią, w rodzime zasłuchane głosy, wchłoniął w siebie, w wyobraźni swej odzwierciedlił i wiernym piórem aż do najdrobniejszych właściwości uwiecznił podania jej, przyrodę, uczucia, wierzenia.

A jednak... na lśniących od barw i światła stronicach są głębokie cienie, ciasne je okalają widnokreśli. Z pod pióra Chodźki nie wyszedł obraz, któryby zawarł w jednych ramach narodową epopeję. Nie talentu po temu pisarzowi zabrakło, o nie! zabrakło mu czegoś innego, o czym pomówimy niżej, we właściwym miejscu, tych podstaw, bez których najświetniejszy talent nie wzbije się do geniuszu.

„Obrazy” Chodźki zajmują w piśmiennictwie miejsce odpowiednie temu, które w malarstwie zajmują rodzajowe obrazki szkoły flamandzkiej. Sam pisarz czuć musiał powinowactwo z mistrzami tej szkoły, gdy, opisując w „Dworkach na Antokolu” rodzinę Dowiatów, siedzącą w półkole, o zmroku, przed kominkiem, obrazek ten porównał do obrazów Teniers’a. Analogia polega na metodzie, na sposobie traktowania przedmiotu, na przedziwnym obrabianiu szczegółów, na tem, że i tego i tamtych talent z rodzimego wykwitając gruntu, gruntu się tego trzyma i zamyka w ciasnych ramach, niby umyślnie, dla skupienia swych właściwości i zaznaczenia odrębności. Polega nadto na nadzwyczaj wiernym portretowaniu. Zakłęte w szczupłych ramach pędzlem Teniers’ów, Dow’a, Mieris’a, pospolite, na pozór, czasem zgrzybiałe, szpetne postacie, budzą zajęcie i sympatyę widza. Dlaczego? Dlatego, że wierne są, typowe, z silnie zaznaczoną indywidualnością w postawie, ruchach, rysach twarzy; dlatego, że nie brak im ani jednej zmarszczki, ani jednego z najprzelotniejszych uśmiechów, ani jednej z dawno zaskrzepłych łez pod powieką, ani nawet jednej szpetnej brodawki. Każdy znał podobne postacie, widział, spotykał po tysiąc razy; w toku życia spotkane mijał obojętnie, a dopiero na skrawku płótna dostrzeżony skrzypek siwy, nauczyciel szkoły wiejskiej, temperujący pióro, polewająca doniczkę z kwiatami, lub nieruchomo ze splecionymi na kolanach dłońmi siedząca staruszka, wrażliwa się

w pamięć. Toż samo z postaciami Chodźki. Rotmistrz „Dźwięk”, Bekieszka, Mieleszko, Żegota, No-rejko, Rupejko, Wołkonowscy, Sołohuby, Laskarysy, Stelnicy, Swieboda, Rudomina, Reut, typy polskie, lecz na litewskim wydane gruncie i już odrębne, wrażają się głęboko w pamięć. „Panie kochanku” naprzykład, malowano go nam tysiąc razy, na tysiąc różnych sposobów, lecz go nam dopiero jak żywego, sprawującego sławne w Nieświeżu syndykostwo, lub płaczącego po Wołodkiewiczu, zaklął na papierze Chodźko. Jak flamandzcy mistrzowie tak i on, żadnych objaśnień nie daje do swych obrazków. Żadna etyczna, filozoficzna lub społeczna teza nie wciela się w nie, gwoli intencji twórcy. Postacie, sceny wymowne są samą drgającą w nich prawdą życiową, niezrównaną plastyką i nie tylko własne, lecz szerepu całego dzieje, właściwości, ukochania opowiadają jasno, dobitnie. I w dziele Chodźki, jak w dziele flamandzkich mistrzów, żyje zakłęte życie narodu i epoki, lecz rozproszone w szczegółach, nie powiązanych z sobą przewodnią nicią ideału. Do zbiorowej treści narodu i epoki pozostają w stosunku sączących się ze zmarszczyń górskich krynic względem szumiącego potoku — a jednak...

Wyobraźmy sobie ścianę zawieszoną rodzajowymi obrazkami jednego pędzla, tak dobranymi, że choć każdy z nich jest skończoną, w osobnych ramach zawartą całością, ze wszystkich tworzy się jeden wielki obraz. Całość ta dojrzaną zresztą być

może z pewnego tylko punktu, na jakim staje patrzący. Takie utwory, jakim jest w malarstwie sąd Michała Anioła, a w piśmiennictwie naszym „Pan Tadeusz”, uderzają odrazu widza i czytelnika; najobojętniejszych, najmniej na rzeczy się znających olśniewają, odślaniając przed nimi widnokreśli, które objąć można z tych tylko wysokości gdzie orły się gnieźdzą, na jakie orły porywają z sobą. Tu przeciwnie, pisarz-malarz, nie był zdolnym rozpiąć płótna szerszych rozmiarów i na epieczną zdobyć się kompozyceję, lecz rysownik śmiały, kolorysta świetny, utworzył niesłychaną ilość drobnych obrazków pociągających widza i czytelnika prostotą, plastyką i barwami świetnymi. Promienie oderwane, po za którymi widz i czytelnik pospolity nie dostrzega jądra ogniska, kryształowe krynice, po za którymi nie domyśla się rwącego potoku. Dopiero większy tych rzeczy znawca czy miłośnik, rozciekawiony fragmentami, roznamiętniony rojem geniuszków, które z mnogich ram wyskakując, otaczają go wirującym, pstrzem kołem, cofa się, skupia, wpatruje w zawieszoną obrazkami ścianę i dopiero ułożą mu się one w jedną całość, a gwarne, niesforne geniuszki splecą w taniec rytmiczny, w wieniec, podtrzymujący niby w przezroczu, ze wszystkich tych obrazków, pomimo woli i wiedzy malarza, utworzony jeden, wielki obraz.

Temi dla pospolitych widzów i czytelników niesfornymi geniuszkami, które oryginalny i istotny

tylko talent okiełznać i w służbę swą zaprządz zdołał są w dziele Chodźki typy.

Typy — to oryginalne jednostki, skupiające w sobie właściwości całych warstw lub grup społecznych. Jednostka, aby zostać doskonałym typem, nie zaś postulatem, zachować winna wszystkie cechy indywidualizmu. Bez zachowania cech tych, każde, bodaj na najszczytniejszych postulatach opierające się dzieło sztuki, chybionem bywa. Nie idee bowiem, uczucia, zasady, zadaniem jest artysty i pisarza upostaciować, lecz takie do dzieła swego dobrać pierwowzory, w których idee, uczucia, zasady, nalogi, instynkty palą się najwyraźniej i gasną najnormalniej. O wzory takie nie trudno — pełno ich wszędzie! Śmiało nawet powiedzieć można, że najwięcej udatnych i wiernych typów, dostarczają przeciętni członkowie społeczności każdej, tylko... nie każde oko dostrzedz i pochwycić je potrafi. Nie poradzi sobie z tem ani najpracowitsze poszukiwanie, ani znajomość socjologii i psychologii, ani nauka, ani filozofia. Za ich pomocą umysł pochwyci teorię typu, ale żywego odtworzyć nie zdoła. Na to potrzeba czegoś, co się za żadną nie da nabyć cenę, ani zastąpić tego, co na wybrańca sztuki spada jak promień słońca na przechodnia, rozpala mu brylantową nad czołem gwiazdę, a w oko wprawia czarodziejski pryzmat, w którym się wszystko odbija jaśniej, dokładniej, przez który dają się dostrzedz światy całe, tam, gdzie inni, tym słonecznym promieniem niedotknięci, nic zgoła nie widzą.

Od typów udatnych, przewybornych roi się dzieło Chodźki. Moznaby nawet powiedzieć, że nagromadził w niem większą od któregośkolwiek bądź z pisarzy liczbę oryginałów. W tym względzie porównywano go — (Ludwik Kondratowicz) — z Walter Scott'em. Istotnie, jak Walter Scott tak i Chodźko, żyli w społeczeństwach i czasach obfitujących w oryginałów. Nie każde społeczeństwo i nie w każdym stadyum rozwoju posiada jednostajną ilość jednostek, ściśle z niem spojonych, będących niby wysokiem jego treści, lecz wysokiem, zaprawionym szczegółnemi, samorzutnemi odrębnościami. Ilość ich zmniejsza się i ród wyginać może tam, gdzie, jak to miało miejsce na zachodzie Europy, pokolenia wszystkich warstw społecznych zlewały się w karbach państwowej dyscypliny i towarzyskiej a cywilizacyjnej oglady. Na wschodzie znów niewola i despotyzm zacierają wybujałości indywidualizmu, których to właśnie, co nazywamy pospolicie oryginalnością jest skamieniały w zewnętrznej formie wysokiem. Albion, oblany wodami, odosobniony, przedstawiał pole dla rozrostu indywidualności, zwłaszcza od czasu reformy kościelnej i państwowej, która na tronie absolutnych Stuartów, posadziła protektora z ludu. Myśmy nie mieli mórz oddzielających nas od reszty świata, lecz od mórz skuteczniej odosobniało nas nasze geograficzne stanowisko, a ustrój społeczno-polityczny krzewił wybujałości indywidualizmu. Pod działaniem zachodu nie zniknęły u nas pozostałości wschodu.

Spółceństwo rozpadło się na dwa odłamy: szlachty i ludu, pomiędzy któremi nie było szczebli jak gdzieindziej, ponad któremi nie było niwelującej żelaznej dłoni jednowładcy! Zadziwiające, na owe czasy, swobody polityczne w których nieograniczony udział brała nie szczupła garstka oligarchii, lecz cała szlachecka warstwa narodu, kultura łacińska, pod którą się podszywał bizantynizm—sprzyjały wybujałością indywidualizmu. Kto wie czy o całej szlachcie polskiej na ogół, a o litewskiej już w szczególności, powiedzieć-by się nie dało, że była zbiorowiskiem oryginałów? Brat Michał Ławrynowicz, dowcipny kwestarz, miał z kogo wzorki zbierać, począwszy od litewskich królików Radziwiłłów aż do asesora „Ptaluteczku“ i „szlacheica na łopacie.“ Nie dziw, że ich nazbierał tyle, tak wiernych, przewybornych a zawsze swojskich.

Na tej wspólnej obu pisarzom łatwości wynajdywania oryginałów, ogranicza się zresztą, nadużyte porównanie pomiędzy Chodźką a Walter-Scott'em. Chociaż przyjaciel młodości Chodźki, Julian Kossak, wołał nań:

„Niechcesz wierszem, idź prozą w ślady Walter-Scotta!“

niemożna powiedzieć, aby Chodźko w ślady Scott'a wstępował. Odnacza się on samodzielnością talentu, którejbyśmy napróżno szukali u autora „Quentin Durwarda“ „Purytanów,“ posiadającego zkadinał pisarskie zalety, którychbyśmy znów na-

próżno szukali u autora „Pamiętnika kwestarza“ i „Dworków na Antokolu.“ Talent Walter-Scott'a wyrobiony, poparty znakomitą pisarką zdolnością architektoniczną. Nie obce mu najzawilsze tajemnice kompozycyi. Sama pozorna prostota, sztuczna jest, taką, jaką Anglię zowią *imposed*, a Francuzi *voulue*. Walter-Scott typy i oryginałów wplata w kanwę doskonale obmyślanego, z góry utkanego tła historycznego. Tłumny personel zamyka w umiejętnej kompozycyi ramach i pokazuje czytelnikowi w odległej perspektywie, przy odpowiedniej, z archeologiczną ścisłością obrobionej dekoracyi, pracowicie splecionej intrydze. Jest to sztuka doskonała ale widoczna, bo i któż z najbiegłych zaręczy, że cały ten personel nie składa się z przednich, w odpowiednim świetle ustawionych, naturę naśladowujących manekinów? Stanowi to zresztą nieunikniony może szkopuł historycznej powieści. To pewna, że przy lada zmianie światła lub pozycyi wywołalibyśmy w powieściach Walter-Scott'a chaotyczny zamęt. To pewna, że utwory Chodźki można rozdrabiać na fragmenty, przedstawiać jak się podoba, bez uszczerbku dla nich i dla sztuki. Podobne one w tem do kolorów tęczy, które w słonecznem rozdzielane widmie, nie tracą barw i blasków. Pisarz barw nie dobierał, kanwy nie utkał. Umysł jego nie zdobył się na pomysł ani historycznej, ani społecznej, ani nawet obyczajowej powieści. Nie był erudytą, ani archeologiem, ani historyzofem, i nie w dziele jego nie zdradza,

aby go żywo zajmowały rzeczy społeczne. Artysta „z Bożej łaski,” kopiował z natury co mu w oko wpadło i utwory jego porównanemi być mogą do kreszki bogato ilustrowanej na marginesach. Dzięki przyradowi talentu, jaki mu przyroda wprawila w oko, odkrywał dokoła kopalnie barw i kształtów, typów i oryginałów, pełną z nich czerpał dłońią i pełną rzucał na papier, nie troszcząc się wcale o dobór i układ.

Rozrzutność ta dowodzi nie samego bogactwa zasobu, lecz zarazem pewnej lekkomyślności, w którą nie popada pisarz w zasadach estetyki i w sztuce wywiczony. W najlepszych swych utworach: w „Pamiętnikach kwestarza” w Dworkach na Antokolu, Chodźko zużytkował materyał, któryby oględniejszemu pisarzowi dostarczył wątku do kilkunastu właściwych powieści.

Jak tezy tak i właściwego jądra w utworach Chodźki szukać nie trzeba. W „Dworkach na Antokolu,” blały romans Ludwika ze starościanką, służy za pretekst do snucia obrazów i kreślenia zamaszystych portretów. W „Pamiętnikach kwestarza” obyło się i bez blałego pretekstu. Zawodzi nawet autora intencya, jaką miał, o ile się zdaje, przedstawienia 1812 roku, jako środkowego punktu opowieści. Epizody takie jak sejmik połocki w Uszczu, kapituła w Nieświeżu, klasycznie opowiedziana sprawa Wołodkiewicza, silniejsze na czytelniku wywierają wrażenie, niżli wejście do Wilna wojsk napoleońskich.

W utworach Chodźki nie ma też drugo i trzecioplanowych figur, zagłębień, perspektywy. Wszystko na jednej linii; jednego kalibru, po wszystkich zakątkach obrazu równe, jednostajne rozlane światło. Radziwiłowie na Ołyce i Nieświeżu, wojewodowie, starosta Antowilski, Rudomina, Sulistrowski, Chomiński, Dowiatowie w klasztorze i w palestrze, nie ustępują sobie kroku, a po za nich zaledwie się cofa ciżba rycerzy, sejmikującej szlachty, oficyalistów i gości po pańskich dworach, palestrantów, mniichów, rolników, partyzantów, maruderów. To pewno, że w „Pamiętnikach kwestarza,” nietylko barwna postać „Panie kochanku,” lecz nawet skromna: księdza definitora, zaćmiewają postać Napoleona, siedzącego na drewnianym stołku, przy Zielonym moście, na Śnipiszkach. Tatar Amurat, posiadający pałasz, którego „klinga prawdziwie turecka ale osada i furdymant polski,” Radziwiński „głowacz wielki lecz filigranowej roboty,” Świąboda z „Harasimem,” występują wydatniej, niż wkraczający do Wilna na czele konnicy, na pysznym karym rumaku, szwagier cesarza, awanturniczy Murat. „W Kołpaku aksamitnym, *per modum* tureckiego zawoju na głowie,” wygląda on daleko pospoliej, chociażby od tej jejności, co to każe milczeć swemu „jegomostkowi” i o pokucie dla niego „sama z księdzem proboszczem pogada.”

Kto jest bohaterem w „Dworkach na Antokolu”? Konia z rzedem kto odgadnie. Może Ludwik, a bohaterka starościanka? Czyż nie jest nim raczej

skarbnik lub porucznik Stelniecki, gdyby nim nie był ksiądz Ambroży? W każdym razie postać księdza Ambrożego najgłębiej pomyślana, najsubtelniej odcieniowaną została.

Te niedobory kompozyceyi nagradza rzadka plastyka, jako też werwa niezrównana, humor, aż dosadny, zawsze szczery i porywający, zawsze swojski. Humor jest niewątpliwie jedną z naszych cech narodowych. Śmiejemy się chętnie, a kto się śmieje prawdziwie po polsku, ten — wyznać trzeba — śmieje się rubasznie. Dziś nawet, gdy pod naciskiem okoliczności wielu, humor nasz pobladł, przyćmił, dziś jeszcze, u przednich pisarzy naszych witamy rodzime jego przebłyski. Dawniej... dawniej śmiała się Polska jak długa i szeroka; od stóp tronu, od sejmowej izby do dworku szlacheica, o lada nic wybuchano homerycznym śmiechem. Bawiono się i umiano bawić, umiano wyzyskiwać komizm, nie mający zresztą nic wspólnego z finezyami dowcipu francuskiego. Więcej też u nas było konceptów niż dowcipu, więcej werwy, niż finezyi. Koncepty te, tę narodową, obcą dwuznacznikom, obyczajną, wówczas nawet gdy dosadną, zamaszystą a naiwną poniekąd werwę, spotykamy na każdej stronnicy dzieła Chodźki. Ile jest tego w „Dwóch konwersacyach z przeszłości“, ile w „Borunach“, w „Pamiętnikach kwestarza“, w „Dworkach na Antokolu“ i gdzie indziej. Humor nie szukany, naturalny, porywa czytelnika, a raczej widza i słuchacza, gdyż doprawdy zdaje się nam, że widzimy na-

przykład tryumfalny pochód infulata Laskarysa do Olyki, że słyszymy kazanie sejmikowe imci pana Reuta, lub, że w Wilnie, na kadencyi prześwietnego trybunału słuchamy jak Mateusz Antonowicz, adwokat znany „ex fluida eloquentia“, zręcznie igra z nazwiskiem Bohomolca i Zaranka. Jaką niezrównaną werwę posiada stolnik Chomiński! Co za skarbczyk ten jego raptularz! Niemalą zaletą humoru Chodźki jest, że uniknął szarży, w którą tak łatwo popaść, przy zamaszystości, zwłaszcza, jaką się pióro jego odznacza. Francuzi, humor podobny mogliby wzięść za szarżę, jak za szarżę zresztą zgoła biorą „les satrapes du nord“, o których wyobrażenia nie mając, bają jak o żelaznym wilku. Dla nas sama ta właśnie zamaszystość ma powab narodowy... powab wylotów, bekieszek, podkręconych wąsów, siarczystych koperczaków, husarskich skrzydeł, tureckich rzędów, wymowy przechodzącej w gadulstwo. Lecz w samej tej zamaszystości podziwiać musimy doskonałą artystyczną miarę Chodźki. Raz mu się tylko pióro poślizgnęło... ależ bo i pokusa była nadludzka! Pamiętacie wdówkę, która się z kwestarzem raczy „ratafiją“, płacze po „aniołeczku, symplaczku“, pierwszym swym mężulku, który „dziesięć lat przestał przy piecu“ — znosząc szturchańce jejmości? Odtąd jejmość, „ciesząc swoją biedę“, ciągle zamaż chodzi i oto jeszcze żywi matrymonialne widoki względem konkurenta swej córki. Oj ta wdówka! Karykatura, lecz karykatura nielada!

Chodźko był może ostatnim z narodowych pisarzy naszych, który potrafił śmiać się tak szczerze. Współcześni jego nie śmieli się już weale. Obok tego wszystkiego, co na naszym Parnasie naturalną rzeczą koleją zmieniło swobodę humoru, w najgłębszy liryzm, całą literaturę europejską owiał był smutek, rozpacz, bajronizm. Pogoda Chodźki jest tedy podwójną anomalią i zrobimy z niej zarzut, we właściwym miejscu, myślicielowi i obywatelowi, artyście przyznać musimy, że stanowi najponętniejszą z zalet jego utworów, którym obok werwy i humoru, nie zbywa przeto na rzewności i na poezji, zwłaszcza w prześlicznych, pełnych świeżości opisach przyrody rodzimej.

Do tych wybitnych przymiotów dodajmy skromność pisarza, przekonanego o wielkości samegoż pisarskiego zawodu, lecz nierobiącego wielkich rzeczy z tego, co sam rzuca na papier, od niechęcenia niby. W prywatnej swej korespondencji (do Symonowicza) wyznaje po kilkakrotnie, że się czuje „aż nadto wynagrodzonym za słabe owoce swej pracy, przez dowody współczucia, jakie utrzymuje w pismach i w partykularnych odezwach.” Gdzieindziej mówi, że „dość miał sławy autorskiej,” a nigdzie, w jego dziele, nie przebija się ubieganie za tą sławą. Rys to również sympatyczny, jak rzadki. A szczeróść?..

Czytałam gdzieś — w pięknych sentencyach królowej rumuńskiej — jeśli się nie mylę: „Il est plus essentiel pour le poëte d'etre vraie de senti-

ment que d'invention.” Jeśli kto, to Chodźko jest szczerzy, a chcąc go studyować, niepotrzebujemy zwracać się do biograficznych szczegółów. Utwory jego dostarczają obficie wskazówek nie tylko odnośnie do wpływów, pod jakimi talent się jego rozwijał, nietylko wyświecających najdokładniej naturę tegoż talentu, lecz rzucających jaskrawe smugi światła na naturę umysłu i charakteru pisarza. Zanim jednak, do zbadania wskazówek tych przystąpimy, nie od rzeczy, być może, będzie zwrócić uwagę czytelnika na samą charakterystykę talentu, jako też na wartość artystyczną, bardzo nie równą, utworów Chodźki.

Talent, a z nim czarodziejski pryzmat wprawiony przezeń w sztukmistrzów oko, dwojakiej bywają natury: oderwanej i konkretnej. Pierwszy, uogólniając typy wzbija się do ideału i szerokie zwykle obejmuje widnokregi. Drugi trzyma się zakresów ciaśniejszych, obrabia, że tak powiem, szczegóły i dla powetowania sobie braku wysokich lotów, posiłkuje się wyraźniejszą plastyką. Bardziej a może równie konkretnego talentu jak talent Chodźki, w piśmiennictwie naszym wskazać nie podobna. Trzeba się chyba cofnąć do pisarzy Zygmuntofskich. Odtąd... odtąd tyle przeróżnych okoliczności wpłynęło na szczególny wzrost u nas wyobrażeń oderwanych, skłonności do uogólnień... Skłonność ta, w większym lub mniejszym stopniu odznacza wszystkie nasze współczesne, jakiego bądź pokroju i stopnia, pisarskie talenty. Każdy pisarz

u nas z wyjątkiem samego tylko Sienkiewicza zostaje mniej więcej teoretykiem—i można się temu dziwić! Chodźko tak dalece wyłamuje się z pod ogólnego tego prawidła, że go posądzamy niemal czy się nie wylał, w części przynajmniej, od ogólnych, na wytworzenie prawidła tego działających motywów. Niezdolny do uogólniania, obcy wyobrazeniom oderwanym, realista, jakich mało, uderzony bywa przede wszystkim zewnętrzną stroną zjawiska. Wyobraźnia jego jest kamerą obskurą, w której zjawiska te odbijają się wiernie. Odbicie przenosi na papier, nie wkraczając w żadne hipotezy, żadnych nie wysnuwając wniosków. Czy miał słuszność? Miał ją o tyle, o ile natura jego talentu do takiego się tylko nadawała tworzenia. Gdzie talent jego na odpowiednim stanął gruncie, wydał owoce zdrowe, jędrne; gdzie wpadał w refleksję, sięgał po rzeczy oderwane lub po wytkniętych kroczycić chciał drogach, śród ekliwkości i niedołęstwa tonęły rozsypane brylanty plastyki i werwy. To nawet, co mniej samorzutne talenty zasila, co nimi steruje, prawidła kompozycyi, to go krępuje, bruździ mu, płoszy werwę, wiedzie na manowce. Z kompletu pism Chodźki bez uszczerbku dla literatury i sławy pisarza, dałyby się wykreślić „Podany,” „Ranek przed ślubem,” „Powrót dziedzica,” „Duch opiekuńczy,” „Drugie pamiętniki kwestarza,” „Jubileusz” i niektóre podania. Chcąc kroczycić wyżej, umysł pisarza nie dopisał, a talent chybił. Gdy przeciwnie tam, gdzie się Chodźko żadną nie krę-

puje rutyną, żadnej nie rozwija tezy i tworzy wbrew przyjętym prawidłom kompozycyi, z pod pióra wybiega mu prosta, towarzyszka wielkości, prawda, nie dająca się oddzielić od piękna i aż filozoficzna głębokość, wydzielająca się bez współdziałania jakoby pisarza, z samej doskonałości utworu. Porównując jedno z drugimi utwory Chodźki, widzimy dowodnie, że najlepsze z nich są dziełem talentu bez współdziałania rozmysłu. Rzadkie zjawisko — gdyż zwykle talent potrzebuje być zasilanym przez umysł i bez tego zasiłku marnieje, trwałego nie wydaje dzieła. To też z walki niebezpiecznej wyjść może zwycięsko tylko talent konkretny, trzymający się oburącz realizmu. Chodźko dostarcza nam jedynego może w swym rodzaju przykładu bogactwa treści i wdzięku formy oryginalnej na wskroś, obok zupełnej, rażącej nieudolności do uogólnienia. Czytając go, wówczas nawet gdy się jasno widzi wszystkie jego usterki, bierze ochota zastosować do niego to, co Ezop podobno wygłosił, a stolnik Chomiński w raptularzu swem zapisał: „Si me et turba mea par esse potueris, cedam loco...”

II.

Chodźko urodził się na schyłku przeszłego stulecia, w 1794 r. Rodzina jego odnaczała się umysłowemi zdolnościami. Strycja znany w piśmiennictwie pod imieniem *Jana ze Świsłoczy*. Przy nim to właśnie wychował się Ignacy. Z trzech synów pana Jana: Aleksander został profesorem literatur słowiańskich w Paryżu, Józef podróżnikiem, Stanisław chemik dokonał podobno użytecznych w agromonii wynalazków. Inni znów, nie wiem już w jakim stopniu krewni Ignacego, odznaczyli się: Leonard jako bibliotekarz w bibliotece św. Genowefy w Paryżu, Michał jako literat, Dominik jako wydawca dzieł Brodzińskiego. Wszystkich zaćmił Ignacy, chociaż wiek cały „doma“ siedział, z dzieciznej swej Dziewiętni, w powiecie Oszmiańskim, nie wyglądając na świat szerszy.

Uczył się u Bazylianów, w Borunach, i prze-

ślizny pozostawił obrazek szkolnych swych czasów („Boruny”). Był potem w uniwersytecie w Wilnie. Od najpierwszej młodości czuł pociąg do literatury i pióra. Zrazu klasyk pisał wiersze serdeczne i sztuczne zarazem, z którychby mu jednak potomność nie splotła ani nawet skromnej niezabudek równianki. Niepospolite zjawisko to, że jego samorzutny, w wysokim stopniu talent, nie wyskoczył odrazu i nawet się nie ujawnił za młodu. Sami przyjaciele zarzucali mu, że „lata długimi uzbierany skarb kryje we wnętrzościach ziemi.“ Nalegali „aby zasiane w wieku wiosnie ziarno wydało owoc.“ On się ociągał. W 1829 r. to jest licząc już wieku lat 35, dał, do wychodzącej wówczas w Warszawie *Meliteli* Odyńca, powiastkę „Poddany,” nie mającą żadnej artystycznej wartości, chociaż ją chwalił bardzo w jednym ze swych listów pobłażliwy Mickiewicz. *Athenaeum* Kraszewskiego drukowało potem parę jeszcze literackich drobiazgów nierównej wartości, gdyż prześlizny obrazek: „Domek mojego dziadka” i taka ekliwa elukubracja jak „Ranek przed ślubem” i taka gruba farsa jak „Samowar.”

Wszystko to nie dawało miary tego, co Chodźko mógł i miał zrobić. A lata biegły. Dobiegły mu do przelomu męskiego wieku ¹⁾, zanim się zdobył

¹⁾ Pan Feliks Zawadzki, żyjący w roku 1883 przedstawiciel w Wilnie zasłużonej wydawniczo-księgarskiej firmy, zechciał na prośby moje, sprawdzić daty znajdujące się na re-

w 1843—1844 roku na „Pamiętniki kwestarza,” a w sześć lat później dopiero na Dworki na Antokolu.” Trudno niemal uwierzyć, aby utwory tak świeże były owocem spóźnionego wieku, powstały z długoletniej aglomeracji wspomnień i wrażeń. Tak było jednak. Wrażenia i wspomnienia, lgnąc jedne do drugich, przez lata długie, krystalizowały się w wyobraźni i myśli pisarza, zanim spadły mu z pióra jak deszcz gwiazd promiennych. Kryształły te na pyłki rozbite nie traciły swych ścisłych geometrycznych linii i kształtów.

Cóż mogło tak opóźnić ostateczne zamianowanie się tak wybitnego talentu? Co? Natura tego talentu nie dopasowana do prądów czasu, w którym miał tworzyć, sama jego sprężystość, nie dająca się nagiąć lub wciągnąć na nieodpowiednie dlań tory.

Dwie szkoły walczyły wówczas o „klucze z ametystu, otwierające drzwi Geady.” Była doba, w któ-

kopismach Chodźki, złożonych w archiwach jego księgarni. Serya I (zawierająca powiastki czyli raczej obrazki drukowane po różnych przedtem pismach) wyszła w 1840 r. Serya II („Brzegi Wilii”) pisana była w 1841. Serya III („Pamiętniki kwestarza”) nosi datę na rękopiśmie 1843—1844. Wychodziła zaś w 1844—1845. „Dworki na Antokolu” wyszły w seryi V w 1850. Potem wyszły „Podania,” „Dwie konwersacje z przeszłości” — (obie te rzeczy drukowane przedtem były w roku 1854 i 1855, w odcinku „Gazety Warszawskiej.”) Jednym z ostatnich utworów Chodźki są „Nowe pamiętniki kwestarza.”

rej się walka zaogniła w spór zawzięty. Geniusz Ada ma rozstrzygnął spór klasyków z romantykami. Za Mickiewiczem poszła plejada poetów i narodowych pisarzy. Na te przepyszne, lecz spienione uczuć i namiętności wylewem szlaki, na które romantyzm porrywał wielkie umysły i serca wielkie, nie puszczała Chodźkę jego niezdolność wzbicia się do pojęć odebranych, jako też jego iście klasyczna, chłodem trącająca pogoda ducha. Romantyzm wszystko uogólniał, wzbijał do abstrakcyi, wszystko oprócz boleści, co go przykuwała do ziemi, wówczas nawet, gdy się wznosił najwyżej w sfery ideału. Zrodzony z burzy rewolucyi, wziął rozbrat z pogodą, karmił się negacją, cofał przed absolutem, wówczas nawet, gdy zginał przed nim „gromowładne czoło.” Wobec przeszłości, o której zwątpił, wobec głuchych poruszeń nurtujących dna społeczeństw i myśli ludzkiej, wobec przyszłości, której tajemnice pragną przeniknąć, stawał zboląły, wąpiący, pyszny, jak budzące się do życia w łonie ludzkości nasze siły. Duchowe i intelektualne wiry porrywały „gromadne” dusze, w których dopiero po burzy „Dziadów” i „Wallenroda,” zajaśnieć miało słońce narodowej epopei „Pan Tadeusz.” Wiry te, rozświecone błyskami genialnych umysłów i serc genialnych, olbrzymich pragnień i ukochań, pociągały za sobą i bierne duchy, aby je roztrzaskać lub wyrzucić na brzeg piaseczysty. Obok wulkanów wybuchały na zgliszczach romantyzmu błędne ogniki, obok słońca zapalały się meteory. Ale Chodźko nie był ani „gro-

„mowładnym,” ani biernym duchem, nie był słońcem i wulkanem, ale też nie był meteorem, kreślącym na horyzoncie szybką parabolę, by zgasnąć we mgłach. I on czuł w sobie potęgę, tylko inną, różną od tej, która stała się podówczas duchową i literacką dźwignią. Stał tedy opornie wobec wszystko porywającego potoku. Niezdolny zapewne zgłębić jego nurtów niezdolny dążyć ku oceanom, ku którym odpływał ów potok, realista z temperamentu, umiarkowany, czujnym uchem pochwycił zrazu same rozdźwięki huraganu, trzeźwym okiem humorysty, dostrzegł przesadę w jaką romantyzm popadał. Wyśmiewa tedy tych, którzy „nie myśląc głębiej i powierzchownie do naśladowania nowej obyczajny do imienia, do form nowych i do tytułów się przywiązując, we wskrzeszeniu średniowiecznej minstrelów i trubadurów poezji, doskonałość widzieli i nowe Donkiszoty starego Pegaza, na Rossynantę przehandlowawszy, we własne go tylko i swojskie mniej więcej zręcznie podrobione stroili rządziki. Na młodziutkiego wówczas romantyzującego Odyńca, woła:

„Czy zły duch, Panie odpuść, w sereu twojem siedzi,
 Że cię ni żadne prośby, ni żadne przestrogi,
 Z tak zwanej romantycznej nie sprowadzą drogi...”

Słucha z uwagą barkaroli przyjaciela swego Juliana (Korsaka):

„Po dolinie
 Brenta płynie,

Po niej płynie cień gondoli,
 z szumem wiosła
 Fala niosła
 Tęskną nutę barkaroli!”

Słucha, przyznaje, że to jest melodyjne, wdzięczne, ale... jemu bardziej po sercu prosta piosenka tkliwego kochanka Justyny:

„Potok płynie doliną,
 Nad potokiem jawory...”

To go dopiero rozmarza, rozkwila. To przemawia do konkretnych właściwości umysłu i wyobraźni. Dolinę, potok, jawory i drzącą, do piersi ukochanego tulącą się dziewczynę, znaleźć można tuż, obok, w kochanej, dziedzicznej Dziewiętni. Tego nie trzeba szukać gdzieś po krańcach świata—to jest Litwy. To nie uluda, to rzeczywistość. Romantyzm lubuje się w uludach, stwarza je tam nawet, gdzie ich niema, w najpospolitszych zjawiskach widzi nadprzyrodzone, roi się w nim od czarownic, biesów, potępieńców. Jest to obłąd, zdaniem Chodźki.

Znacznie później, wówczas kiedy najpotężniejsze głosy romantyków umilkły, a pozostał tylko niedoleżny świegot bajronizmu, Chodźko każe drugiemu swemu kwestarzowi (w 1855 r.) spotkać próżniaka, maniaka, „któremu orzeł Albionu objawił się i nauczył go patrzeć z wysoka na świat i ludzi”. Młodzianów woła słowami najserdeczniejszego przyjaciela młodości Chodźki, Odyńca:

„O wy, ludzie! wy psy! wy gorsi
Od psów...”

Pocziwy Bernardyn na poskromienie szaleństwa młodzieńca daje stroskanemu rodzicowi „pre-skrypcyę” wedle Naruszewicza:

„... proszek doskonały
Na upór, muchy w nosie, miłosne zapaly”.

Jeśli jednak Chodźko zajmuje odporne stanowisko względem romantyków, to i klasykom nie przepuszcza. Nicując własne poetyczne utwory, żartuje sobie „z szumnych ód, milutkich anakreontyków, słodziutkich tryoletów i czterowierszy, które pan Ignacy pisuje, talent czy tylko pretensyę do talentu wyniósłszy z lekyi Euzebiusza Słowackiego, wykładanych w uniwersytecie wileńskim, najściślejszym wówczas klasycyzmem i francuszczyzną technicznych”. Dalej pisze w tym samym przedmiocie: „Ktoby dziś dojrzałym a bezstronnym sądem roztrząsał te poezye i wszelkie inne z tamtego czasu, bo wszystkie podobnego sobie są kroju, znalazłby w nich wielką umiejętność rymowania, politurowaną gładkość wiersza, niekiedy dowcip, w niektórych wyrazach przypominający Trembeckiego rzymską polszczyznę, lecz nigdzie poezyi ducha, nigdzie samoistności”. Gdzieindziej jeszcze surowszy sąd wydałby o grzechach swojej młodości. „Ody — pisze w 1859 r. do Symonowicza — popał, zmiłuj się. Są o najgłupsze deklamacye, a przesadzone od począt-

ku do końca, nie chciałbym i śladu takich kiepskich poezyi”.

I tu źle i tam niedobrze. Przeciw akademickiej rutynie i martwocie pseudo-klasycyzmu buntują się właściwości oryginalnego talentu, „samoistność”, którą Chodźko czuje w sobie. Na szlaki romantyzmu, zbyt strome, zbyt w górę wybijające, nie puszczają go słabe strony jego umysłu i samegoż talentu konkretne właściwości. Z jednej strony ziębia go sztuczne „polirowane” połyski. Jeśli czyje, to jego pióro zamaszyste, nie nadawało się do akademickiej polityury. Z drugiej odstraszały wulkaniczne wybuchy. Jeśli nie jest tak wystudzonym, aby poprzestać na tem, co dać może zwiędły pseudo-klasycyzm, to znów jakżeby mógł zaciągnąć się do bractwa zrozpaczonych, on, ani zwątpiały, ani zbuntowany, zostający w zgodzie z całym światem, pogodny nawet wobec wzburzonego oceanu czasu, nawet wobec żaloby, której całuny przysłaniały jego ziemię rodzinną? „Iskra święta” talentu i twórczości płonęła mu w piersi jasnym, nie strzelającym pod niebiosa, ale i nie niknącym w mgłach i chmurach, płomieniem. Właściwego dla niej ujścia długo znaleźć nie mógł. Lata biegly, dobiegly mu do przełomu męskiego wieku, a on nie jeszcze nie stworzył. Mieszkał na wsi, nie osobiwie wiódł gospodarę, udzielał się sąsiadom, lubiany za dowcip i pogodny humor, przypatrywał, przysłuchiwał, przypominał zwłaszcza, zbierał, marzył też zapewne, we właściwy sobie sposób, nie oderwany, nie

nurzający się w obłokach fantazyi lub otehlaniach filozoficznych zagadnień, lecz utkany z barw i linii pochwytanych wprost z natury. Marzył raczej jako malarz, niż jako poeta, a w tajemniczej pracowni jego ducha wyrabiała się materiały do „Obrazów litewskich”.

Jednocześnie wyrabiała się wyobrażenia o samym pisarskim zawodzie. Czego potrzeba dla treści? Tego właśnie czem czuje się przepelnionym: „*rerum cognoscere causas*”. Dla form? Tego co ma mu posłużyć za motto: „prostej a zatem najkrótszej linii”. Linia ta prosta i krótka, może się wszelako zabarwiać wszystkimi barwami tęczy — kolorysta w rodzaju Rubensa wszędzie widzi barwy. Nie dość na tem, w różnorodnych kształtach, które dostrzega, a które w wyobraźni jego odbijają się, linie owe proste i krótkie mnożą się do nieskończoności, układają coraz inaczej. Klasycyzm, czyli raczej ta jałowa zmiana w piśmiennictwie naszym, która się klasycyzmem być mieniła, nie znalazła barw ani linii śmiałych. Romantyzm gubił się w przekwitłego gotycyzmu arabeskach. I tu i tam nie znajdował Chodźko odpowiednich dla siebie wskazówek. Sam sobie musiał torować drogę. Dojrzały, pogodny wkroczył... mamże powiedzieć? na drogę realizmu w sztuce.

Przypisanie Chodźce ojcostwa tej szkoły u nas nie ubliży jej chyba, chociaż cofnie nieco wstecz jej metrykę. W rzeczy samej szkoła jak świat stara i której wszystkie znane piśmiennictwa zawdzię-

czają swoje, jeśli nie przednie, to przynajmniej *nie starzejące się* utwory. Tylko, Chodźko weale o szkole nie wiedział. Nic nie wiedząc o teorii *doświadczalności* (*le roman experimental*), nie eksploatował społecznych tez i naukowych, częstokroć nader ryzykownych hipotez, co dziś wciśnięte w naturalistyczne ramy, przebiegają powieść, najzupełniej niczego nie dowodząc, chyba tego, że się szkoła rozwija, goniąc za teorią tam, gdzie, wedle nadpisu na frontonie, iść śmiało o samą obiektywną obserwację, gdyż, bądź co bądź, najgłośniejsi współcześni nam adepci szkoły realistycznej, pomimo protestacy i tysiąckrotnie ponawianych zapewnień, są teoretykami. Z gromady zjawisk wybierali, *odosobniali* te, które najjaskrawiej ilustrują bronione przez nich tezy. Nie jednostajnie czuli na wszystkie podmuchy życia i natury, wybierali z umysłu same rozkładowe, cuchnące, zabójcze. Nie wątpimy wprawdzie, że te ciemne społeczne, psychiczne, patologiczne szlaki, po których wyłącznie kroczą z tryumfem talentu i plastyki: Zola, Flaubert, bracia Goncourt, krzyżują się na bożym świecie, że się po nich roi tysiące i tysiące tysięcy istnień ludzkich, że ich wyziewy zatruwają zdrowotność społeczną, a ich ofiarami padają nietylko ludzie tych dolnych warstw, w których się rekrutował personel „Assomoiru”, ale i tych, w których obracają się różnorodni eżeciście „Nany”, lecz są przecie szlaki inne, szczytne, świeże, a od sztuki, odzwiercadelającej obiektywnie i bezwzględnie prawdę, mamy prawo domagać się,

aby nam nie przedstawiała samych cierni, lecz i kwiaty, nie same fosforyczne połyski, lecz i jasne promienie słoneczne, nie same ciężkie bryły, lecz i nie-pochwytny émy mgławic i srebrzyste smugi księżycy. To też w realizmie Chodźki ponętną jest przedewszystkiem istotne nie zaś sztuczne odzwierciedlanie zjawisk, wierne kreślenie obrazów, w których się światła i cienie krzyżują do nieskończoności. Światła tu będzie nawet daleko więcej, niż cienie, w samych chociażby krajobrazach, stanowiących malownicze tło do opowieści. Przegląd utworów Chodźki rozpoczniemy rzutem oka na opisy przyrody rodzimej.

III.

Pisarz i artysta, chociażby najbardziej obiektywny, tworząc snuje z siebie, do tkaniny używa nici, zafarbowanych wrażeniami, których świadomość utracił oddawna, a które na pracą kładą mu odbłyski podobne tym, jakie zaszło dawno słońce zostawia na chmurach i obłokach zachodu. Społeczność, co go zrodziła, z przeszłością swą, dążnościami, ruchem obecnej chwili, rodzina, z której wyszedł, nauka, którą otrzymał, otaczają go atmosferą, po przez którą spogląda na otaczające go zjawiska. Przyroda wreszcie, wśród której wzrasta i żyje, silne wpływy wywiera na naturę i kierunek jego zdolności. Konkretność talentu Chodźki czyniły go jeszcze czulszym i wrażliwszym na wpływy przyrody rodzimej. Wyobraźnia nie przenosiła w odległe krainy i pod dalekie nieba. Jemu się, jak „Farysowi”, nie śnił wschód płomienny. Nie

zdołałby pod skwarnem niebem przeboleć konania „Ojca zadżumionych”, ani się przerzucić z „Anhelim” na śnieżne całuny, okrwawione zorzą północną. Ani razu, ani na chwilę świat mu się nie wydał „cmentarzem z łez, z krwi i błota”. Nie przebywał „Golgoty” podnoszącej męczenników do wieszszej godności. Wobec rodzimej przyrody stawał jako naiwny lecz tkliwy kochanek. Nie była mu ona ani „Eloe”, ani „Beatryczą”, ani aniołem, była po prostu dziewczyną, którą chciał tulić do bijącego serca, matką-karmicielką, u której piersi zawisł, spijając z niej same mleczne słodycze. Matka, ta karmicielka, dziewczyna ta sielska, szumem gajów i szmerem strumieni nuciła mu rzewne, łagodne kołysanki. Miałaby tęsknić po piaskach Sahary, po niezmiernych oceanu przestrzeniach, po lasach dziewiczych i niebotycznych skałach? i po tym kraju, gdzie cytryny dojrzewają? Po co mu to? Wszak miał łan zboża, gaik na skraju, a dokoła opasała go morową wstęgą „rodowita” Wilia. Mnogie w nią wpadają strumienie. Czasem od dłoni nie szersze, płasają po dnie wysłanem kamykami, i skaczą w oczy zapatrzonych w nie niezabudek, lub przycichają stłumione i w gęszczu *ajeru* (tataraku) wiodą rozhowory z żabkami, zalecanki stroją do wierzb długowłosych. Brzegi Wilii niezbyt gęsto są osiedlone. Miejscami panuje cisza dziewiczej niemal natury. Tu, niegdyś, w zmierzchach przysłoniętych, nie dającami się rozsunać tajemnicami przeszłości, odrośl starożytnych Aryów, przeniosła „zaświatowe” swe-

go szczepu marzenia. Gdy u stóp Himalaju marzenia te potęgowały się i nabierały nieznannej innym strefom grozy, gdy na zachodzie przerzucały się w czyny, na tym litewskim skrawku ziemi, odciętym przez lat wiele od ruchu świata całego przycichły i zastygły w pragnienia, w szepty rzewnej zadumy. Wszystko tu do snu kołysze: cisza, pary zwiśające nad rzeką, puszyste łąki, szumy borów, i te kotary, któremi bory opięły litewskie gniazda. Rozumiemy pisarza, gdy nas upewnia, że dobrze jest z pogodną duszą, bez tęsknoty i trwogi, w pięknych dniach wiosny roku i wiosny życia puścić się i płynąć bezpiecznie rzeką ojczystą, po której brzegach coraz to nowe, coraz to rozmaite, coraz piękniejsze, a wszystko swojskie, domowe, „kochane” spotykamy widoki”. („Brzegi Wilii“ t. I, str. 171).

Nie sądzicie tylko, proszę, aby w widokach tych było coś osobliwszego. Tu kamień Pacem zwany, lisy łeb wysuwa z wody; tam młyn, lub w Żodziszkach młynu szczątki. Tu historii wpół starta karta, tam od historii żywotniejszego podania strzępki. Tu, okop—ślad pobojuwiska! tam omszona ruina—ślad zgasłej świetności! Tu i owdzie w niebo strzelają wysmukłe dzwonnice, na tle sadów dwory bieleją i dworki, wszędzie gromady strzech niskich, niby w kucki przysiadłych, szarych, powiehrzonych. A tam, na wzgórzach piaszczystych rozwiane wiatraki, płynącym po nad nimi obłokom przesyłają znaki porozumienia, a krzyże na wiejskich *mogilkach* (cmentarzach) i przy rozstajnych

drogach wyciągają długie ramiona. Taką jest „piękna i szeroka Litwa nasza”, napawająca nas „rozkoszą czystą, niewinną, prawdziwą nadewszystko”. („Brzegi Wilii“ t. I, str. 171).

Rozkoszy tej zapewne nie odczuje nie wtajemniczony. Obcemu Litwa nie wyda się ani „piękna”, ani „szeroka”. To jednak pewne, że snąc krainy naszej Bóg nie upośledził”, jak mówi autor „Obrazów litewskich”, skoro wzbudza ona najtkliwsze przywiązanie w swych dzieciach, skoro jej przyroda nastroja takie śpiewne liry. Mickiewicz porównał ją ze zdrowiem, dał jej „Grażynę”, „Walendera”, „Dziady”, „Pana Tadeusza”. Syrokomle, ci, którzy go nie doceniają, pomawiają aż o zaściankowy patryotyzm. Litwa stała się niby piastunką poetów, a kto ją zna bliżej uderzony bywa poetycznymi skłonnościami wszystkich niemal jej mieszkańców. Najskąpiej przez naturę i oświatę wyposażone umysły marzą tu wpół śnie, wpół jawie, i często ludzie, którzy nie zgoła nie czytają a piszą nieortograficznie, rymują na zabój.

W popędach tych poetycznych jest niewątpliwie *coś*, co niedojrzałym, niewykształconym nawet umysłem naszeptuje otaczająca je przyroda. Niech owo *coś* wpadnie w ucho artysty, niech je pochwyci talent, a będziemy mieli utwór cenny, w którym zagóruje swojska nuta, swojska barwa. Te nuty podслуchał i podchwycił, barw tych dopatrzył i na papier je przeniósł w całym ich blasku Chodźko. Wiosną czarują go dziewicze rumieńce i dreszcze

rodzimej przyrody.— „Śnieg,—pisze—wczesniejszym „dogrzany promieniem, stopniał i w szumne rozlał się potoki. Gdzieindziej pod płotem leżał jeszcze „zeczerniałym kosmem, jak stary łazarz w łachmanach, oczekujący chwili, gdy go ziemia pochłonie; „lecz natura czuła już popęd do życia. Chwila jeszcze sennego odrętwienia... przejdzie natychmiast, „a wszystko razem jedną ożywczą popchniętą siłą, „rozwinie się, zazieleni, zakwitnie. — Skowronek „w powietrzu, wierzba na ziemi obwieszczą tę chwilę i uprzedzą”.

Cóż się złożyło na ten obraz? Kosm zeczerniałego śniegu i dosadne porównanie do łachmana nędzarza, które ziemia pozrze, słońca promień cieplejszy, szum wód, kiściasta wierzba i na słońca promieniu, nad ziemią, zawieszony skowronek.— Z tych kilku linii Chodźko utworzył krajobraz owiany wiosną. Teraz lato się zbliża, więc i barwy będą gorętsze, chociaż nie stracą porannej świeżości.

„Gęsta mgła rozwlekła się nad ziemią i nad „rzeką, przejmowała pierwsze promienie wschodzącego słońca, które padały w nią z góry i tonęły, „lecz przebić jej i rozproszyć nie mogły”. W taki to letni poranek podróżni płyną z biegiem Wilii, nie widząc ani rzeki, która ichniosła, ani jej brzegów. „Kiedy niekiedy tylko rybołów szerokim, „białym i błyszczącym skrzydłem rozciął horyzontalnie, jak mieczem mgłę, plusnął piersią po rzece „i wyrwał z wody płótkę, z którą znowu we mgle

„utonął”... „Powoli jednak émy te wilgotne, mocniej-
 „szym słońca promieniem dogrzane, rozrzedzać się
 „i niknąć zaczynały.” Rozwiała je wreszcie dzienna
 „pogoda. „Niebo oblało się światłem, gdzieniegdzie
 „tylko poskupiane obłoki, lekkim pędzone wiatrem,
 „płynęły po jasnym błękiecie. Dziwne i rozmaite ich
 „formy w coraz to nowe zmieniały się widma. Tam
 „coś nakształt ogromnego sfinksa, przechodzącego
 „powoli i nieznacznie w straszliwą figurę czarowni-
 „cy z miotłą w ręku i z zawojem na głowie; owdzie
 „kawalerzysta na wielbłądzie, którego długa szyja,
 „rozciągając się coraz dłużej, zamienia się razem
 „z jeźdźcem w smoka ze skrzydłami, tam znowu
 „jakby z wysp ruchomych, skupiających się jedna
 „na drugą, wznosi się góra ogromna, w szczerbate
 „połamana krawędzie, której wszystkie brzegi, słoń-
 „ce za nią ukryte złotem oblamowało; po tych
 „szczerbach i krawędziach, wspina się, czepia i prze-
 „wija coraz wyżej mały obłoczek. Nagle zanurza
 „się i ginie w olbrzymich zwojach chmury... Po
 „chwili słońce wzbija się nad chmurę, osiada na jej
 „szczytce, zapala tam ognisko wulkanu i gorejącym
 „promieniem rozczepia górę na dwoje... chwije się
 „ona całym ogromem i nakoniec kłębami lawy roz-
 „pływa się po niebiosach”.

Zwróćmy uwagę na barwy tego krajobrazu, na panujący w nim ruch naturalny, swobodny, na realizm opisu, nie ujmujący nic poetyczności. Istotnie opis mistrzowski tego poranku wytrzymać może porównanie ze sławnym zachodem słońca Byrona:—

„*The sun is up and yet it is not night*”. Spójrzmy jak zachód wygląda pod piórem Chodźki.

„Dzień się skłaniał ku schyłkowi, promień za-
 „chodzącego słońca spadł na rzekę, łamiąc się ró-
 „zmaicie podług jej biegu: raz nam émił oczy ja-
 „skrawym blaskiem, odbitym na wodzie jak na pa-
 „łacem zwierciadle i płynęliśmy natenczas ogarnieni
 „światłością, która nas zewsząd i z pod wody na-
 „wet oblewała, to znowu, gdy rzeka inny brała
 „kierunek, a zapadające słońce borem się zasłoniło,
 „wypływaliśmy na ciemne głębinie i przesuwaliliśmy
 „się przez szerokie cienie, zalegające nurt rzeki i jej
 „brzegi, a ustępujące powoli i nieznacznie blademu
 „wieczornemu światłu. Zewsząd dochodziły głosy
 „owych krzykliwych, a smutnych pieśni włościanek
 „naszych, którymi się one, wracając z pola do do-
 „mów pocieszają; zalaływa woń miła i ożywiająca
 „świeżych pokosów, kwitnących jeszcze z rana,
 „podejętych w południe, więdnących wieczorem...
 „kilka stad krówek przybiegało z paszy do rzeki
 „i brodząc po mialkich jej brzegach gasiło pragnie-
 „nie i kąpało się rzeźwo”.

Któż z nas nie zna tego wieczornego krajo-
 brazu. Widzimy podobne codziennie w letniej porze. Istotnie „swojskie” to, „kochane” i malowane z prostotą i wdziękiem pogody i spokoju. Może sądzić, że noc ta, która ma zapaść, przyniesie mroki grozy pełne? Gdzie tam! W typowym dworze litewskiego szlachcica, u pana Wojskiego Oszmiańskiego, w Dziewiętni, wieczór zapada „cichy, ciepły”. Na

Wili dostrzegamy „zdaleka ruszający się płomień, „nagle powiększa się on i rozszerza, oznaczają się „w blasku lub znikną w ciemnocie dęby, jak olbrzy- „my nieruchome; między nimi snują się dziwaczne „ludzkie postacie, to kłębami dymu otoczone, to „czerwieniejące się naokoło ogniska. Nakoniec cała „ta zgraja szatanów rozbija się, dzieli po rzekach, „ogniska oddalają się powoli, błyskają coraz słabiej „po wodzie, wkrótce wszystko niknie, przepada”...

Tą „zgrają szatanów” są poprostu rybacy. Ko- mu są znane fabryczne okolice w Anglii, we Francyi, a chociażby bliżej nas na Śląsku, huty rozpalone, kominy olbrzymie, kłęby dymu i iskier wśród których uwija się w nocy ciężba ludzka, ten niech porówna te otęchłe, istne piekła, z tym nad wilejskim kraj- obrazem, gdzie ognie, ludzie nikną, płyną wśród za- czarowanej ciszy nocy i przyrody. Robi to wraże- nie fragmentu z zaczarowanej baśni. W mieście też sama niemal co na wsi cisza. Śnieg pokrył ulice Wilna, noc upływa cicho i niktby godzin nie liczył, gdyby nad nimi nie czuwały zegary na wie- żach kościelnych i gdyby stróże nocni, za każdym ich uderzeniem nie przyspiewali:

„Mości panowie gospodarze,
Już dwunasta na zegarze;
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Macie Boga Dobrodzieja“.

Czasem jednak, po tem tle nocnem, przemyka obraz fantastyczny. Jesteśmy w epoce, w której Wilno posiadało Dworki na Antokolu, lecz nie posia-

dało latarni „posepnie wprawdzie, lecz wyraźnie ry- sujących miasto”... „Natenczas,— mówi Chodźko— w mieście pogrążonem w ciemnościach każdy sam własne oświecał drogi i dlatego smolne, ogniste, iskrzące się lonty, splątane w grube liny i na moc- nych osadzone palkach, przebiegały po ulicach jak meteory, przed pojazdami panów, gęstym dymem i rozlatującym się na wszystkie strony zarzewiem rozbijając nocną pomrokę. Niekiedy kilka i kilka- naście takich ognisk postępowało na czele licznej, brnącej po kolana w rozbloconym śniegu bandy, huczne wykrzykującej wiwaty... Na ciemnych i krę- tych pomniejszych uliczkach uwijały się gęsto la- tarki, zachodząc aż na dalekie przedmieścia i jak błędne ogniki snując się między dworkami”.— A w dworkach spokojni ich mieszkańcy gwarzyli w izdebkach ciasnych, ciągnąc z lampek stary wę- grzyn, lub rozkładając pasyanse. W tem pod okna- mi huknął cech „miastowych włóczęgów”:

„Powstań Czarnecki! przetrzyj swe powieki”...

Ha! Czarnecki zasnął snem nieprzespanym Nie zbudzi go nawoływanie nasze. Zbudzi go chy- ba trąba... Archaniola. Tymczasem pieśń ta nie przypadła do smaku księdzu Ambrożemu. Hej śpie- waki, zanućcie inną, pełno ich macie w swych kan- tyczkach:

„W Tobie, Panie ufność moja,
Niech się dzieje wola Twoja!
Oj biedaź, to, to. Nadziejaź to, to.”

Już z powyższych przytoczeń mogliśmy się przekonać o tkliwej miłości Chodźki do rodzinnej przyrody, którą malowniczo maluje i o skłonności jego do kreślenia krajobrazów pogodnych, spokojnych. Wypływa to z indywidualnego usposobienia, z temperamentu pisarza. Przyroda nasza zawsze malownicza nie zawsze jednak bywa uśmiechnięta. Nie wszędzie żyzne rozciągają się lany, po łąkach nie wszędzie tłuste pasą się „krówki”. Są i wydmy, ze skąpo zieleniącymi się krzakami jałowca; są bagna i topiele, pokryte kępinami czarnego torfu, spowite w zielsku lśniącym, do węzowych splotów podobnym. Nie same tu nam nucą skowronki, nie same pieją słowiki. Cyranki napelniają powietrze przeraźliwym krzykiem, bąk jęczy, kulik płacze, siewki urywanym głosem zdają się wzywać pomocy; w chorale przyrody błotne ptactwo, którego jest tu tyle, spełnia rolę płaczek, sowy żalobnice i pułaczki popisują się po emmentarzach, uroczyskach, pustkowiach, ruderach, których zapewne nieco mniej było za czasów Chodźki, lecz których potem namnożyło się bez liku, zwłaszcza w niektórych okolicach Litwy. Po polach naszych, po drogach, nie same wiosenne bywają rozstaje. Szlochają na nich długotrwałe jesienne słoty, srożą się zimowe śnieżyce! Zwierciadła wód nie zawsze lśnią „jak potok złoty”. Mącą się, pienią, wylewem grożą. Nie same muślinowe, dziewicze, poranne mgły owijają brzegi rzeki. Niepogoda zmienia je w ostre smugi ulewnych deszczów, mróz ścina w sine lodu bryły,

ziemię śnieżną spowijają pokrowce. Lecz i te ostatnie z pod pióra Chodźki wychodzą ubrylantowane słońcem. Przypomnijmy sobie podróż porucznika Stelnickiego, z księdzem Dowiątem, do starostwa Kapinowskich, („Dworki na Antokolu”). Przypomnijmy zaprzęg świetny, *clangor*, rumor niezrównany. Ile na obraz ten autor wysypał barw i tęczyowych kryształów słowa, przekonać się można chyba odczytując w „Dworkach na Antokolu” rozdział, poświęcony tej podróży. Najobszerniejsze przytoczenia wyobrażenia o tem nie dadzą. Gdzieindziej, zima i śnieg posłużą Chodźce jako tło do malowania scen ze szkolnych czasów, wesołej zgraj chłopiąt na rynku w Borunach, hałaśliwych szturmów do okopów z lodu. Kiedy przypomnimy sobie jakie obrazy i sceny widok śniegu nasuwał naprzykład wyobraźni Grottgera, Szymańskiego, Sieroszewskiego, przyznać musimy, że pomimo niezaprzeczo-nych wpływów, jakim na zewnątrz podlega pisarz i artysta najwięcej już snuje z głębi własnego łona i do zjawisk zewnętrznych stosuje komentarze, poddyktowane własnym temperamentem. Tam, gdzie Grottger na śnieżnym stepie wyciąga, jak rozpacz długie, ponure, a porwane sznury pątników... za praocjów grzechy — Chodźko każe rączym koniom mknąć z „clangorem i rumorem”, unosząc wesoło, dowcipnie gwarzących: szlacheica i księdza. Oba zimowe krajobrazy wierne... narodowe. Tylko jeden powszedni i pospolity, choć po mistrzowsku, świetnie malowany, drugi... też powszedni, lecz niepo-

spolity. Jeden kartką z *raptularza* szlacheica litewskiego, drugi płytą kamienną na narodowym cmentarzu, i kto wie, czy nadgrobną karta nie jest tylko dopełnieniem tamtej, kolorowanej, codziennej, ulotnej? Ze dwóch artystów na ten sam przedmiot patrzy inaczej, dowodzi to różności stanowiska na którym stają. Jeden wznosi się na szczyty, z których wzrok zapuszcza daleko, aż po zagranice mroków zagrobowych — drugi staje oko w oko ze zjawiskiem codziennem. Porywa ono jego wyobraźnię barwą, słupem światła, po za to nie sięga — barwę, słup światła żywcem przenosi na płótno lub papier i basta. Gdy jednak przenosi z tak mistrzowską wiernością, jak Chodźko, to bezwiednie pozwala czytelnikowi sięgać głębiej i wyżej, odsłania przed nim horyzonty, o których sam ani marzył, gdyż ich nie dostrzegał wcale. Pod każdym istotnem dziełem sztuki, pod każdą, bogdaj wierną i doskonałą kopią znajdują się takie zagłębienia i horyzonty, których dostrzeżenie zależy już najzupełniej od... stanowiska, które zajmuje czytelnik.

IV.

Stanowisko, z jakiego się Chodźko zapatrywał na zjawiska, było z jednej strony — konkretne, realistyczne, obce wszelkim oderwaniom, pogodne, z drugiej — szlacheckie. „Clangor i rumor” odpowiadały właściwościom jego talentu, pociągały kolorystę, nęciły pióro, skłonne do zamaszystych rysów, zasilone wspomnieniami, wyniesionemi z rodzinnego gniazda. Znał on jedną tylko Polskę, taką, jaką była w przeszłości: kontuszową i karmazynową. Magnaterya stała wówczas u steru, lud społeczywał u narodowych podwalin, jako bryła nie ożywiona tehniem swobody i oświaty, rdzeń zaś narodu stanowiła szlachecka rzesza: tak różnobarwna, jak to tylko rozbijała wyobraźnię objąć można, złożona z rodzin, które z jednej strony klejnotem herbowym, poczuciem osobistej godności, gotowością spełnienia obywatelskich obowiązków, walecz-

nością rycerską, zdobytemi lub odziedziczonymi dostojenstwami, wznosiły się do społecznych szczytów, z drugiej skromnością dobytku i obyczaju ocierały się o gmin szary. Nie było może ani jednej rodziny szlacheckiej, do której z małym wariantem nie dałby się zastosować znany, z czasów ostatniego panowania dwuwiersz:

„O co za dziwne cuda Boskiej Opatrzności!
Wnuk na tronie! Ojciec w krześle, a dziad podstarości!”

Rodzina, z której pochodził Chodźko, była właśnie taką typową, narodowo-szlachecką rodziną, w której *karmazyn* ocierał się o *szaraczka* i zlewał z nim w harmonijną całość. Dziadek Chodźki, pokądzieli, Widmont, przedstawiony przez autora jako „pierworys owej niższej i uboższej szlachty, w której skromnych zagrodach przechowały się bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerłość, chrześcijańska gorliwa pobożność i czystość sumienia”. (Domek mojego Dziadka). Wprawdzie, sam autor dodaje, że się także przechowywał tam „zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijnem ogniwem gminne urojenia i powieści z domowymi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezję”.

Całe dziedzictwo takiego, jak Widmont szlachcica, składało się z kilku chat włościańskich i zagrody z domkiem, zawierającym dwie tylko izby z alkierzykiem i bokówką „z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zedłem koło pieca

i długim zapiekiem, gniazdem dziatwy i szcurów”. Cicho tu, jak strumień na łące, płynęło życie. Nie było oglady towarzyskiej, brakło nauki, lecz panował wysoki stopień społecznego uobyczajenia, ład i oszczędność, pracowitość i gościnność; przechowywała się tradycja narodowa i ziemiańsko szlachecka. Tradycja ta podnosiła takiego Widmonta z poziomu, w którym zagrzązł. W dążeniach ojców i praojców jego tkwiły ideały, które człowiek ten prosty, nieuczony, zabobonny, wierzący w upiory, czczący zakon jezuitów, z mlekiem matki wyssał i które się w nim zmieniły w bezwiedne ale szlachetne instynkty. Ze „szczupłem swem mieniem był on—jak upewnia autor—szczęśliwy i uszczęśliwiał”. Wymagania takiego uboższego szlachcica były ograniczone, obyczaj prosty, spartański, życie domowe patryarchalne, rozrywki sielskie: rozmowa z kapłanem z poblizkiego klasztoru, różaniec odśpiewany z domownikami, przy rannej kawie snów tłómaczenie, wieczorem, przy kominie, o upiorach opowieści, przy fruwanii kołowrotekówdziewek słuchających i śpiewie Heluni, córki ekonoma, przypuszczonej do rodzinnego grona. Oto na czem spływało życie. Taka prostota obyczaju, w szlacheckim stanie nie była ani wyjątkiem ani upośledzeniem żadnem. Panem jest, kto wedle przysłowia „poprzestaje na swoim“, a szlachta tego, co Widmont zakroju „poprzestawała na swoim“, nie sięgała po fawory, nie obdzierała kraju, była w narodzie stanem trzecim, w najlepszym, najbardziej obywatel-

skiem znaczeniu. Brakowało jej tylko większej umysłowej oświaty. Przywiązana do roli, w ekonomii kraju zgrywała rolę włodarzy, nie tylko mających oko na orkę, lecz chętnie i skutecznie przykładających rękę do pługa. Na tych szczeblach szlacheckości zacierała się pańszczyźniana groza. Dla panie kochanku „szlachta to bracia, chłopki to dzieci“. Gdy w złym jest humorze i zagniewany na hałasującego z bizunem ekonoma, to woła, że tylko „kpy pochodzą panie kochanku od Chama“, (t. II, str. 285) ale dla umierającego Widmonta, poddani jego to bracia, wśród których żywot spędził, wśród których umiera, którym dziękuje nie tylko za ich życzliwość lecz i „za chleb“ wspólnie zapracowany, wspólnie spożyty. Śmierć ziemianina, opisana przez Chodźkę (Śmierć mojego Dziadka), z porywającą szczerością naocznego i głęboko wzruszonego świadka, jest zarazem najrzewniejszą stronnicą wyszlą z pod jego pióra i komentarzem objaśniającym dlaczego Chodźko w szlacheckości same dodatnie widzi strony, dlaczego tak się różowo zapatruje na stosunek pana do chłopów, gniazda szlacheckie ma za uprzywilejowane siedliska cnoty. Przesady gromi, stroni od nich, lecz przyłgnał do nich sercem, spogląda na nie przez pryzmat najpiękniejszych wspomnień.

Wspomnienie domku dziadka nie opuszcza go nigdy. Też same, z lat dziecińczych znane sobie, ukochane wnętrza domów, maluje niejednokrotnie. Prześliczne obrazki takich wnętrzy we „Dworkach.

na Antokolu“, zamieszkałych przez szlachecką „konfraternią: skarbników, podczaszycy, mostowniczych, wojszczanek, podskarbianek i t. d.“ Znajdujemy tu chlubę gospodyń „królewską szafę“. Znajdujemy wygodniejszą kanapę a w alkierzykach „panieuskie łóżecko, za krótkie trochę na wysmukle figurki, i kuferki, na których nie tylko same ich właścicielki siadają, ale niekiedy i estymowany a akceptowany konkurent:

„U nóżek swej bohđanki
Trawi wieczory i ranki.“

Na podobnych, mistrzowsko odrobionych łaach, grupuje autor figury, jakich dziś już nie widać, które zniknęły wraz z dworkami i królewskimi szafami.

Są jednak po dziś dzień na Litwie, dwory i dworki, gdzie, minawszy, kosztowniej, ozdobniej, a zwłaszcza już pretesjonalniej przybrane komnaty, trafić można do pokoiku, zwykle zamieszkałego przez starą babkę lub ciotkę, czasem ochmistrzynią lub piastunkę, co ze trzy wyniańczyła pokolenia, podobnego bardzo do opisywanych przez Chodźkę alkierzyków. Nigdzie chyba nie bywa cieplej, zaciszniej. Nigdzie nie można znaleźć smakowitszej kawy nad tę, która się tam rano warzy w piecu, i bardziej kruchych sucharków nad te, które się tam odświeżają, w umyślnie na ten cel zrobionym zapiecku. Nigdzie szara godzina tak nie rozmarza...

Kątek kraju zamknięty w ślimaczej skorupce!

Możnaż się dziwić, że ten ciasny kątek tak nęcił Chodźkę? Mało kto, tak jak on, kocha się we wspomnieniach, a chcąc go ocenić i zrozumieć należyście nie powinniśmy zapominać ani na chwilę o tem, że „wspomnienie idzie za człowiekiem i z mordowanemu podaje czarę słodkiego nektaru”...

Z domku dziadka Widmonta wspomnienia przenoszą go wkrótce do szlacheckiego dworu, innego już pokroju, do jego dziedzicznej Dziewiętni. Drugi dziadek Ignacego, po mieczu, Michał Chodźko, wojski oszmiański, na szczeblach szlacheckiego stanu o wiele pokaźniejsze od starego Widmonta zajmuje stanowisko. Karmazyn to już. Ziemskie zaszczytne urzędy od dawien dawna w jego rodzie. Dla kmieci dobrym zapewne jest panem łagodny, wesoly ten staruszek, ale panem. Dziedzic Dziewiętni, choć mieniem nie przechodzi średniej zamożności, jest sąsiadem w pełnem tego słowa znaczeniu, i bratem, nietylko równego mu w dostojenstwie stolnika, ale i wojewody—Chomińskich, a choć co słowo „weneruje” on pańskie nogi, myliłby się bardzo, ktoby tę uniożoność brał na seryo. Równość tę najzupełniej też odczuwają i uznają bogatsi i dostojniejsi sąsiedzi. (Dwie konwersacye z przeszłości). Wprawdzie przysłowie o „szlacheicu na zagrodzie”, faktycznie stosowanym bywało chyba w chwilach waśni lub warcholstwa, tem nie mniej szlachcie, bogdaj najuboższy, wysoko trzymał o swem urodzeniu, o swym klejnocie, o tych politycznych przywilejach, których używał i nadużywał. Zresztą wojski oszmiań-

ski żył w dobie, w której pretendowanie szlacheica do tronu przestało być czezą mrzonką, zmieniło się w dotykalne zjawisko. Niezbyt głębocy politycy— a takich w rzeszy szlacheckiej najwięcej było—nie troszczyli się zbytecznie o to, czyja dłoń i w jakich widokach posadziła na tronie Poniatowskiego. U szczytów wyniesienie się to jednego z najmniej dostojnych w Rzeczypospolitej rodów, budziło niezadowolenie, zwłaszcza, u takich naprzykład litewskich królików Radziwiłłów. Dla nich Poniatowski na tronie nie przestał być „stolnikiem”. Natomiast szlachecka rzesza, która do rywalizacyi z „familiją” stawać nie mogła, czuła się bardzo pochlebianą, polechtaną w swej godności tem wyniesieniem szlacheckiego stanu w osobie króla. Magnaterya zresztą sama liczyła się i liczyła ściśle ze szlachtą, zajmującą obywatelskie stanowiska, podobne temu, jakie zajmował wojski. Wprawdzie Sołohub nie może chętnem okiem patrzeć na związki córki z dworzaniem swym, Piotrem Wołkanowskim (Pustelnik w Proniunach), i zapewne w Olyce powstałby rumor wielki, gdyby który z Radziwiłłów zapragnął poślubić pannę Nagórską, starościankę Zawistowską, lecz to nie przeszkadza, aby na dworze księcia „Rybenko”, marszałek Faszcz ugaszczal z oznaczeniem gości, aby też sama przez Radziwiłłów wyposażona Nagórska była jak córka traktowaną przez księżnę. Sam butny, niesforne „Panie kochanku”, ostatni wyraz wybujałości litewskiego możnowładztwa, jakże uprzejmym, ujmującym bywał

dla „braci”. Pan Sulistrowski, którego brat Ławrynowicz „niewysoką kreaturą” nazywa, żyje z księciem „Panie kochanku”, za panie brat, jak to mówią, a Morykoni, choć cudzoziemiec, to mu już jawny i prawny stawi opór. Na sejmiku w Usaczu, trzeba widzieć jak się wojewoda Połocki kłania braci szlachcie, jak jedna sobie adherentów. Na wieczorynce u Rudominy prezencya dostojnika nie powstrzymuje tanów i wybuchów wesołości, nie przeszkadza „wrywać dziewczki od waltorniów i dalej iść z nimi w obertasy”. Kiedy zaś zagrzmią mu nad uchem:

„Panie Wojewoda,
Co to za moda
Żołnierzy zbierasz
Szlachtę pożerasz“.

to wojewoda, „Ojczy święty”, nie umie dość się uśmiechać, uniewinniać. Poczucie godności szlacheckiej przechodziło nawet częstokroć poczucie godności osobistej, i dziwić się temu nie można, gdyż wszelka konfraternia, sztandar wszelki, dla ludzi średniego poziomu, zastępują to, na wyrobienie czego w jednostkach trzeba dźwigać o wiele wyżej poziom umysłowy i moralny. Że konfraternia szlachecka, że sztandar przez czas zdarty, przez wichry niepogody porwany, zbutwiały, miał tyle uroku dla Chodźki i to tak długo, aż do połowy bieżącego stulecia, to już inna kwestya. Chodźko posiadał do fanatyzmu posuniętą cześć pamiętek,

a wspomnienie o tyle jest dobre i zdrowe, o tyle umysł zasila, o ile nie zaślepią. Chodźkę, krótkowidza, oślepiły wspomnienia dni dziecięcych. Ależ bo i wspomnienia! Jakaż ponętna dla malarza, dla artysty, pestać, ten Wojski Oszmiański, poważny, uśmiechnięty, gościnny, zjawia się nam w progach swego dworu. Za nim dostrzegamy, tło zamieszkałych przezeń komnat. „Stosowne do jego stanu i położenia... nie występując daleko ze staroświeckiej prostoty, rzuconym jednak gdzieniegdzie wygodniejszym i ozdobniejszym sprzętem zwiastujące, że i do głowy gospodarza wciskały się również nowsze i wybrane *bona ex malis* pojęcia. Komnaty obszerne, jasne, w których nie dostrzegamy lśniących się parkietów, gdyż „wosk panuleńku — mawiał gospodarz domu — pracowite pszczołki robią na ofiarę Bogu, na światło do ołtarzów Pańskich, a nie pod nogi ludzkie”. Na tapetach, okrywających ściany i pod lustrem w misternych ramach, krzyżyk i loretański dzwoneczek. Wizerunki dwóch hetmanów: Sobieskiego i Michała Radziwiłła. Wojski utrzymywał, że ich tak naprzeciw jeden drugiego umieścił „dla kompanii panuleńku”. W rzeczy samej — dodaje autor — Sobieski był tam od antenatów, „Radziwiłła wojski przywiózł z Nieświeża jako swego pana i dobroczyńcę”. Rys nadzwyczaj charakterystyczny, malujący wyobrażenia społeczno-polityczne szlachty, zamęt, z którego wycofać się nie łatwo było, z którego może coś przechował sam Chodźko, który nieraz wywiesza jeden naprzeciw drugie-

go dwa portrety różnej historycznej wartości, ot tak, dla „kompanii”, a może dlatego, że mu jeden pozostał po antenatach, drugi przybył z osobistych wrażeń, a najpewniej już dlatego, że obadwaj przedstawiają wyloty, bogate delie, piękne buławy... barwne są, zamaszyste...

Do tych wpływów rodzinnego gniazda, które zdecydowały kierunek talentu Chodźki, napelniając wyobraźnię jego samemi szlacheckimi portretami i wspomnieniami, dołączmy wspomnienia uniesione ze szkoły, które niby rumieńce zorzy, odbiły się na jego dziele. Szkoły odbywał w Borunach, pod okiem bazylianów. Wychowanie tam udzielane nie było zapewne takie, jakie winno było otrzymać pokolenie, wzrastające na gruzach. Wolelibyśmy, aby w domniemanych pracownikach odrodzenia wyrabiano ducha bardziej spartańskiego, aby umysły młode zasilano zdrowszym i posilniejszym od teologii pokarmem. Wolelibyśmy, aby nie „prześlizgiwano się” tak lekko—jak to sam autor wyznaje (Boruny)—po wszystkich naukach, aby promocję dostawali najzdolniejsi i najpilniejsi uczniowie, nie zaś ci, których rodzicom chciano dogodzić. Wolelibyśmy, aby *reverendissimus* fizyk mniej miał przesądów przeciw nie chrześcijanom. Wolelibyśmy... wiele rzeczy wchodzących nietylko na owe czasy, lecz i po dziś dzień i pomimo pedagogicznego nastroju obecnej doby, w dziedzinę *pia desideria*. Tem nie mniej, niepodobna bez uśmiechu zadowolenia spoglądać na uczniów i na nauczycieli w Borunach. Przesądny

reverendissimus fizyk, dzielający swych uczniów zabawy, rysuje się jako wpływowy, serca młodzieży jednający sobie nauczyciel. „Zawiąawszy habit około butów biega jak łódź do mety, albo przylepia szeroką swą łapę do muru, na cel koźlistej piłce, lub z pałką na ramieniu, zamiast karabina, mustruje rotę wybranych i równie jak on uzbrojonych rycerzy”. Inni nauczyciele nie wiele się od niego różnią. Widzimy ich na majówce u imci Bujnickiego, bawiących się równie ochoczo jak i uczniowie i strzyżących koperczaki do panny Katarzyny, w różowym fartusku, podobnej do jednej z nieśmiertelnych tanecznice, zdobiących fryzy na odkopaliskach Pompei. Wiosną życia tehnie postać dziewczęca. Wiosną życia i swobody przesiąkłe wspomnienia szkolne, a chociaż autor wspomina coś tam o „płaczu powszednim codzień, a o arcy płaczu co sobota”, o *strachu* siedzącym „za piecem na pieńku, z groźnem okiem i dyscypliną w rękę”; strach ten nie musiał być tak bardzo strasznym, skoro nie przeszkadzał „z za płotu kamuszkim, lub zimą kawałkiem lodu, żydowi sińca na łbie posadzić”.—Wre, kipi rynek w Borunach od hałaśliwej uczeni zgrai. Wieczór zapada, zbrojne pułki malców następują jedne na drugie. Ile rycerskiego zapału w tych pucułowatych twarzyczkach, ile zuchwałości w ruchach i postawach pacholąt! Zkądże ten popłoch nagły? „Pierchają rycerze, niby w puch rozbite bataliony ciurów. Oto u wrót kościoła kłęząca żebraczka podniosła się i wstrząsnęła lachma

nami. „Mergelis!” czarownica! Wszelka jednak zagadkowość pociąga, więc gdy popłoch pierwszej chwili minął, otaczają ją coraz szerszym kołem.— Wróży im: „Ty będziesz ekonomem” Śmiech! On! Marszałkiewicz ma być ekonomem? „Ty generałem... tobie w sobotę pieńiek, tobie pirogi od mamuni”. Obdarzony niemi, nie zapomni to pewne podzielić się ani z żebraczką wrózką, ani z psem Rozbojem, który chodzi po kwaterach i do samego ojca Kanafarza zaglądać lubi.

W zimie rynek wygląda inaczej. Wznosi się na nim „groźny z lodu okop. Przed okopem na straży, jak przed zaklętym pałacem Amadisa, staje potężny olbrzym: głowa sfńska, z dwóch węgli żrénica, tułów Bachusa, a nogi rodyjskiego kolosu... Co wieczór, gdy odwilżone powietrze łatwiej dozwoliło lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymywać musiał”... Łatwo wyobrazić sobie co się tam działo dopóki od klasztoru nie błysnęło światło latarki księdza prefekta” „Przerwana bitwa... — światelko się posuwa... wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na cel jaśniejący w oddali... wszystko pierzcha, a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzją i ze zbitą latarką znajduje pusty plac pobojo-wiska. Następuje rewizya po kwaterach. Siedzą maley spokojnie około stołów, a zatkawszy uszy i zamrużywszy oczy wrzeszczą na zabój: — *byli tacy, byli tacy, aniołowie, aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili*”...

Widocznie w Borunach nie istniał system de-laeji, zbuntowane cherubiny usnąć mogli snem spokojnym, snem bez troski, „snem studenta umiejącego lekcję na jutro”.

Utwór, poświęcony pacholęcym wspomnieniom, robi wrażenie pastelu, malowanego najświeższymi i najdelikatniejszymi farbami! Gdzieindziej koloryt wzmoże się, rozpali, rysy pogłębią, linie zadziwią śmiałością rysunku, werwa, wzbijając się do potęgi, zatoczy o rubasność, nigdzie nie będzie świeżości tyle, tyle „niewinnej, dziecięcej, na setne serca, rozdzielonej wesołości”. Ta wesołość i plastyka jedną bezwzględne sympatyę dla malców przewybornych od początku do końca, psotników, pieszczochów serdecznych! Chwilami tylko gdy wpadają w sentymentalne rozkwilenie wśród mamuń, siostrzycek i siostrzanych przyjaciółek, w myśli czytelnika natrętną błyskawicą przebiega pytanie, w czem dziatwa ta znajdzie hart ducha w godzinie próby? Czy ta miękkość i tkliwość czułości nie zaleje ogniów wielkiej miłości? Czy się umysły te i charaktery wzbijają do nieugiętości przekonania i zasad? Nieprzyjemne te wątpliwości w silniejszym jeszcze stopniu rodzą się przy odczytywaniu innych utworów Chodźki i to tych właśnie, które jak „Boruny” posiadają najwięcej artystycznej wartości, odznaczają się plastyką, porywają szczerością. Ale o tem niżej. Dopiero, zatrzymawszy się nad wrażeniami, które pisarz uniósł z lat dziecinnych, z rodzinnego gniazda i szkoły, wróćmy do galerji historyczno-społecznych portretów,

którą pozostawił. Portrety te występujące, rzekłbyś, z ram, sceny je otaczające, mogłyby się pomieścić w Pamiętnikach Paska. Plastyka, realizm niepozbaniony poezji, śmiałość rysunku, świetność kolorytu, oryginalność, werwa, humor, jednoczą się lub walczą o lepsze, a ze zgodności tej lub walki wychodzi szereg typowych, narodowych postaci, z których nie sama wszelako przeszłość przemawia do nas w których nawet wówczas, gdy je czas starł, jest owo *coś*, po czem wnuk skarłowaciały poznaje praojca w mężu zakutym w zbroi, co nadobną prawnuczkę zbliża do zwiędłej prababki, *coś*, co stanowi wprzędzoną przez dziedziczość i tradycję nić łączności, dającą się plątać, naprężyć, rozluźniać, lecz nigdy przeciąć; nić, co po przez pokoleń długie, bardzo długie szeregi, mota kłębek cech znamiennych, narodowych.

V.

Wchodząc w tę długą galerią portretów, pióra Chodźki spostrzegamy, że nie wszystkie obrobione są jednostajnie. Szkicowe jedne, drugie pracowicie i w najdrobniejszych szczegółach są wykończone. Niektóre, jak postać księcia „Panie kochanku”, księdza Dowiata, Sulistrowskiego, porucznika Stelnickiego, powtarzają się niejednokrotnie, ze szczególnem upodobaniem kreślone przez pisarza. Jedne malowane *en pied*, drugie sylwetki oznaczone kilku kreskami, lecz tak wyraźnie, że czy są w świetle, czy pozostają w półcieniu, wychodzą do złudzenia żywe, pełne ruchu, wymowne, gwarne, opowiadające tysiące rzeczy, które opowiadać nie było w intencji autora. W galerii tej ludzie najrozmaitszej kondycyi przeplatają się i mieszają jak w życiu. Przegląd nasz pobieżny zacznijmy od góry, by przez wszystkie szczeble zejść do dołu.

U szczytu portret bohatera wieku. Gdy przypomnimy sobie jakie nadzieje, jakie uczucia w danej chwili bohater ten budził w piersiach naszych, bez wahania przyjmujemy wizerunek Napoleona I, jak to chce autor, w poczet narodowych portretów.

Na zaraniu obecnego stulecia, z burzy rewolucyjnej, na skrzydłach wojennej sławy wzbił się kolos, o którym sądzono długo, że swym ciężarem przeważa szalę wieku. Było to złudzenie, lecz złudzeniu temu podległy co najmniej dwa pokolenia i liczyć się z niem musimy nie tylko wobec historii lecz i wobec literatury z pierwszej połowy bieżącego stulecia, a kto wie nawet, czy w literaturze wpływ tego złudzenia nie przetrwał dłużej, niż na widowni historycznej, z kąd je usuwały szybko po sobie następujące, stanowe wypadki. Bojowym pędzony huraganem, z armat hukiem, kul świstem, wielki i jaskrawy meteor przeleciał po nad Europą i nie tu miejsce zastanawiać się ile czezości, nieładu, rozkładowych zaczątków, ile hamulców na postęp, kapturów gaszących dopiero co rozpalone światła, ile więzów na dopiero co wyzwolone ramiona było w tej bojowej wystawie, w tym szychu wojennym w tych rycersko-awanturniczych tanach, kędy śmierć niestrudzona odmładzała szranki, w tym obozowisku, jak biblijny Lewiatan, opasującym lądy starego świata. Współcześni sprawcy zamętu tego widzieli zesłańca niebios, a że była to chwila przebudzenia się mistycyzmu, że ludzkość przebywała paroksyzm gorączkowy, nie brakło przepowiedni wró-

źbitów, apokaliptycznych porównań, wszystkiego, co się składa na wytworzenie legendy, co zjawisko naturalne zmienia w nadprzyrodzone. Ludzkość przebywała jeden z momentów, w którym — wedle słów ojca definitora (Pamiętniki kwestarza)— „wre, kipi, topi się, musuje”. To pewno, że nie w dobie tej nie było w miejscu, nie stałem, nie dojrzałem, wszystko rosło, wyrabiało się lub małało i ginęło. I to także pewno, że od owej fantasmagoryi, od owego rojącego się po Europie rumowiska hułców i duchów, gnanych biczami despotyzmu i niepokoju wewnętrznego, były luny, u których piśmiennictwo z pierwszej połowy naszego stulecia zapalało pochodnie. Dla nas, w wyjątkowem położeniu w jakim znaleźliśmy się w tej dobie, wszystko to miało urok większy jeszcze, niż dla innych, nieprzeparty. Huragan porywał oderwane od pnia liście, rozpalał nadzieje, rozdmuchiwał namiętności, a naszą narodową znamiennej namiętnością o zatamowanem nagle, naturalnem ujściu, było zamiłowanie bojowego ryszunka. Napoleon miał świat wyzwolić. Od czego nie wiedziano dobrze i najpewniej nie zdawano sobie jasno sprawy z pokładanych w nim nadziei. Uczuwano tylko wielkie znużenie na przemian z gorączkowym i ślepem rwaniem się naprzód. Znużenie pozostało po porodzie rewolucyjnej. Dla większości, widziana w przybliżeniu, to jest jednostronnie, nie przedstawiała ona nic, oprócz anarchii, krwawego przewrotu, niszczonego interesy pewnych korporacji, a nadto grożącego istnieniom indywidualnym. Ludzie

w jarzmo społecznej rutyny wprzężeni, podobni są do psa, o którym Byron mówi, że gotów kasać targającą jego łańcuch rękę. Od despotyzmu militarnego Napoleona były natomiast olśniewające blaski dla tych zwłaszcza, którzy, jak ojciec definitor, a za nim i autor „Pamiętników kwestarza”, widzieli w rewolucyi „żuźle bezbożności”. Dla nich Napoleon był „wielkim hutnikiem, który warzył rudę, mięszał ją, szumował, wicherami poddymał, płomieniem podzegał i... ulepił materię na krzyżową formę”. On tymczasem nie ulepił, a to co w widokach osobistej i dynastycznej ambicji sprzął, rozproszyło się jak ziarenka „marnego piasku. Cóż, „Hutnik” galwanizował tych nawet, zwłaszcza może tych, którzy go uważali za ślepe w rękę Opatrzności narzędzie. Dla jednych był *bestyą*, dla drugich *aniotem* z apokalipsy, w każdym razie wodzem niezwyciężonym, bohaterem raczej, niż tem, czem był w istocie—Cezarem. Któż nie pragnie na żywe oczy oglądać choć raz w życiu bohatera, to jest wciele nie ideału? Potrzeba uwielbienia leży na samym dnie ducha ludzkiego i niezdolność entuzjasmowania się dla idei, dla czynów, ludzi, którzy czyny te spełniają, w których ukochane przez się idee wcielamy, świadczy o ubóstwie ducha. Ojciec definitor ubogim w duchu nie był. Nie umrze spokojnie aż, jak ongi Symeon w świątyni—ujrzał małego Chrystusa, nie ujrzy na żywe oczy wielkiego „Hutnika”. Widział go! W otoczeniu świty, błyszczącej od piór, galonów i drogich kamieni, w „ciemnym werdegra-

nowym surducie, z ponsowym kołnierzem, bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową na piersiach, w trzy-różnym kapeluszu”; widział jadącego na myszatej mierzyńce, widział takim, jakim go wszyscy widzieli, jakim przekazały go potomności niezliczone wizerunki. Nigdzie chyba tyle ile na Litwie wizerunków tych nie było, nigdzie nie przechowały się tak długo. Po dziś dzień po strychach i składowach starych rupieci, we dworach i dworkach, znaleźć ich można tuziny całe. Przed opleceniem Litwy siecią dróg żelaznych, ściany na stacyach pocztowych, wausteryach i karczmach przydrożnych, w izbach ekonomskich zawieszane były sztychami, przedstawiającymi Napoleona, lub epizody z jego życia. Dzieci, a w ich liczbie pisząca to, uczyły się czytać na starych i z szaf wyciąganych książkach, ozdobionych takiemiż rycinami. Urok trwał długo, bardzo długo. Litwa, pod tym względem jaki w wielu innych razach podobna do bursztynu, motyl gdy w nim utonie, na wieki zachowuje kształty i barwę.

Toż samo można powiedzieć i o utworach Chodźki. Typ, który w nie wpadł zachowuje świeże barwy i kształty. Chodźko w 1812 roku był w Wilnie, służył nawet jakoby za tłumacza pomiędzy liwerantami, a kuchmistrzami dworu Napoleona, opisał to co widział. Za Napoleonem widzimy „wlewającą się do miasta konnicę”, w mieście popłoch, rozgorączkowanie, wśród którego przebija najwyraźniej ciekawość, za miastem drogi przepeł-

nione różnorodnym wojskiem, dalej wsie opustoszałe pola zaniedbane, bandy zgłodniałych maruderów, których ofiarą pada niewinny prowodyr kwestarza: baran Elias. Dostrzegany dwór pański patryarchalny przed niedawnymi laty, zmieniony w „jakieś Pandemonium”, garstkę paniczów grających w karty i wysuszających kielichy, filozofów wierzących w senne mary, zdenerwowanych, rozdrażnionych, lekceważących życie, a co po zatem idzie wszystko. Słyszymy gdzieś, w cichej izdebce, na folwarku, szept cichej modlitwy przeplatany mistycznymi bredniami... Autor, nie zastanawiając się weale nad tem, co „nawarzył” wielki „Hutnik” i malując po prostu to, co widział, otworzył przed czytelnikiem perspektywę, o jakich sam nie snił. Świetne stronnice („Pamiętniki kwestarza”), poświęcone 1812 r. nabierają historycznej wartości.

A teraz cofnijmy się wstecz i z podań, ze wspomnień, z plastycznych porównań i przypowieści pozostałych w ludzie, odbudujmy, wraz z autorem, staro-szlacheckie typy, które Chodźko najlepiej rozumie i w odtwarzaniu których celuje, odpowiadają bowiem właściwościom i zaletom jego talentu. Rysownika i kolorystę nie pociągają wybladłe, zeszywniałe żalobne postacie współczesnych. Tłomaczy je wspak, nierozumie niezdolny pochwycić subtelnych nici z jakich się sprzędły, składowe charaktery. Szuka dosadności i wyrazistości, znajduje ją w praojcach, których też wizerunki kreślone z pamięci, z podań, posiadają autentyczność,

w jaką nie zdołał zaopatrzyć portrety zdejmowane *ad hoc*, z natury.

Patrząc tam, z ciasnej ramki szkicowego obrazka, wysuwa się leb potężny, lisy, a może tylko tak z saska podgolony wysoko. Z okna dworu swego, starosta wilejski, Pac, „dzień cały, nie mając bogdaj czego lepszego robić, paląc fajkę i popijając wino ogląda na rzekę, na prom i na cie mnie za rzeką Mołodeczańskie lasy.“ Ta szybko naszkicowana głowa starosty, pomimo czarki z winem i rzuconego na nią podejrzenia o próżniactwo, spogląda ku nam zadumanem, kto wie czy nie zasmuconem okiem? Wzrok męża goni spływającą w dół falę, lub usiłuje przebić tajemniczą zasłonę boru. Kto wie, czy starosta wilejski nie należy do liczby tych ziemian naszych, którzy zakopani gdzieś po za Mołodeczańskimi lasy, wiedli żywot bardziej cichy niż próżniaczy, obserwując zbierające się na niebie jesienne chmury, wyglądając przedwiośnia? Któż zaprzeczy, że stan szlachecki wydał liczny zastęp statystów? i któż będzie dość naiwny aby sądzić, że statysta jest jednoznaczniakiem anachorety? Fajka w ręku i czarka wina nie rażą nas bynajmniej. Śmiało do tych akcesorów dołożyć możemy różaniec i szkaplerz na piersiach pod atlasowym żupanem lub żelazną koleczuga, a ani jedno, ani drugie, ani też dobroduszość uśmiechu pod sumiastym wąsem, ani piwnych oczu tkliwe rozmarzenie, nie przeszkodzą, aby pod tym łbem potężnym, podgolonym, snuły się myśli mężkie i obywatelskie, pra-

wica skorą była do czynu. Nie nie jest sprzecznijszym z usposobieniem, z cechami naszymi narodowymi, jak wszelkie maceracye. Polak może być anachoretą z potrzeby, lub w wojennej przygodzie, inaczej, w obcą mu szatę przyoblecze go chyba wynaradawiającem wychowaniem narzucona obłuda. Anachoretami nie byli ani Jagiellonowie i Witold, ani Zygmuntowie, ani Batory, ani Sobieski, ani nasi wielcy hetmani i kanclerze, ani poeci narodowi, ani członkowie prześwieatnej rzeczypospolitej Babińskiej, ani to rycerstwo słynne z waleczności i hartu bojowego, a któż ich za próżniaków ospałych lub nieudolnych poczyna? To też i głowa starosty wilejskiego wylania się na tle lasów rodzinnych jako głowa jednego z ojców narodu, którzy przez wiek cały granicznych pilnując kopców, na kresach rzeczypospolitej narodową uprawiali kulturę. Głowę tę spostrzegamy otoczoną poezją ludowego podania. O „Ibicie Paca” opowiadają sternicy, wymijając kamień, sterczący w Wilejce.

Jakież to znów mąż pochyła nad „otwartym grobem swego, o sto lat w przeszłość oddalonego antenata, milczy, a potem wzruszony mówi: *Utinam vias tuas sequere possim.*“ Tym antenatem, w którego ślady wstępować pragnie, jest kanclerz litewski, z cnót i obywatelskich zasług znany, ksiązę ordynat na Olyce i Nieświeżu, Stanisław Radziwiłł (T. III, 222 i dalsze). Tym nad jego grobem wzruszonym mężem, ksiązę Michał, popularny pod imieniem księcia „Rybeńko,” rodzic ks. Karola, „Panie

koehanku.” Za nim rysują się magnackie i rycerskie postacie: hetmana Michała Wiszniowieckiego, Sapiehów, Zawiszy, Hrehora Ogińskiego. Rysują się w półcieniu, wyraźnie. Naprzeciw księcia „Rybeńko” portret malowany na sposób Van Dyck’a. „Za stołem, czarną aksamitną oponą zaslanym, na którym srebrny, wielkiej miary stoi krucyfiks, siedzi podeszły wiekiem a urodzeniem, dostojnością i kapłańskimi cnotami znakomity” Jerzy Laskaris, infulat Olycki i patriarchy jerozolimski. Obok tych dwóch surowych wizerunków, niby dla rozweselenia oka i wyobraźni, dwa pastele. Na jednym, wschodzącym słońcem różowo zabarwionym młodzian „*Formosus adolescens,*“ w sukniach na pół zakonnych, z rozmarzonym, bezseną nocą zmąconem okiem, z którego czytamy jak mu pilno szaty te zrzucić, przybrać się w kontusz, do boku przypasać karabelę i dłoń wyciągnąć do tej tam nadobnej dziewczyny, którą widzimy na drugim pastelu, To Hanna Nagórska! Wdzięki jej wróć światu młodego krewniaka infulata, imci pana Załuskiego, przez rodziców, którym się dziatki nie chowały, ślubowanego Bogu.

Pyszniejszy od portretu Laskarysa, a w równie poważnym stylu, malowany („Dworki na Antokolu”) portret Łobacińskiego, marszałka trybunału litewskiego. Do sądowej sali, w której wre zwada i kwitnie pieniacstwo „dwóch hajduków wciągnęło w krzesła na pół leżącego marszałka... Włos biały spada mu niedbale na wysokie i otwarte czoło,

a oko czarne i pełne, wkrótce jednak wiecznie zawrzeć się mające, łąą się zaémilo, gdy wyciągając rękę ku zdumionej gromadzie, rzekł łagodnym i spokojnym a razem uroczystym głosem: koledzy! *moriturus vos salutat.*“

Złożonego chorobą sprowadziło to poczucie obywatelskiego obowiązku. Przybył jednać, do bezstronności i sprawiedliwości zagrzewać sędziów, przybył ochronić godność trybunału. Nie jest to typ jedyny ani wyjątkowy w szlacheckim stanie, lecz należy w moralnem znaczeniu, do czoła tegoż stanu. Gdzieindziej („Pamiętniki kwestarza”) dostrzegany w Mińsku, na ruskiej kadencji, wice-marszałka Morykoniego, którego energia opiera się samowoli Radziwiłłowskiej i sprawiedliwość, aż surową nieco, wymierza warcholstwu Wołodkiewicza. Michał Morykoni ożeniony z siostrą podskarbiego Tisenbauza. Ciotkę wydał za starostę strubeskiego Zyndram Kościalkowskiego), starosta poniński, staje przed nami jako „pan uważny i pomiarkowany...” puszczający mimo uszu uwłaczające słowo Wołodkiewicza, nazywającego go „Włochem i cudzoziemcem”, z rankoru, że niżej od niego siedział. Władzy swej używa dopiero, gdy Wołodkiewicz trybunał na ratuszu napada. Wówczas, zdecydowany, spokojny, „twardy jak stal...”, wzywa Boga na świadectwo, że „*Morykoni* przebacza Wołodkiewiczowi, lecz że go *sędzia* potępia.” Chcąc uniknąć większej awantury, przyśpiesza egzekucyę, pomimo niechęci wzbudzonych dokoła „Włocha.” Obok Łopacińskiego, po-

stać Morykoniego pociąga oko widza. Zwraca też uwagę Sołohub, który, widząc księcia Karola do szaleństwa rozszoszczonego na trybunał miński za śmierć Wołodkiewicza, i odgrażającego się, że „Piotrowinów porobi,” nie waha się pochwycić za ugle jego konia, wołając: „Plataj książę! wolej zrobić mnie Piotrowina, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić.”

A toż znowu co za personat? Blaski od niego biją. „Kontusz granatowy z sajety jak atlas, ze sznurami i kutasami, żupan materyalny spięty na szyi karbunkulem, którego gdyby brat szlacheć dostał miałby ehleba na całe życie, pas bogaty w karpia łuskę, a złoto ciecze z frendzlów, na piersiach wstęga błękitna Orła białego, gwiazda na niej i pałasz w jaszczur i blachy złociste oprawny... Pan sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosów podstrzyżonych. Oko błękitne, otwarte, noszący nieco wąsy z węgierska, suknie krótkie, but jak oblany.” Figura pyszna, pod którą podpisałby się Tycyan. To wojewoda Witebski wystąpił tak wspaniale na sejmiku w Usaczu („Pamiętniki kwestarza”). Łatwo uwierzyć, że gdy personat ten „w dobrym humorze podsunie się gracko do jakiej kobietki, to rośnie jak na drożdżach dobrodziejka, a wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.”

Szkoda że nie mamy portretu wojewodziny. Z pod pióra Chodźki najpospolitszy i nie starzejący się nigdy typ żony zazdrośnicy i sekutnicy wyszedłby odmłodzony.

Dalej, kawalerzysta „suto i buńczucznie ubrany w taratatkę „gęsto taśmami złotemi szamerowaną, z oficerską szlifą, z ładownicą na szerokiej złotej taśmie, z pałaszem na pendencie, kołpakiem pikowanym na głowie... czupurny, wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, wspaniałem spojrzeniem...” młodzian szczodry, wożący z sobą wyśmienite zapasy podróżne i nieodstępną książeczkę do modlitwy pod tytułem *Żołnierskie nabożeństwo*. Czy nie syn to czasem wojewody Witebskiego? Nie, nie syn, lecz najpewniej krewniak powinowaty, gdyż cała możniejsza litewska szlachta to istna konfraternya, a to typowa jej odrośl: Jaśnie wielmożny rotmistrz Chomiński.

Lecz wszystkie te wizerunki jakkolwiek bądź piękne, starannie obrobione lub zamasyście rzucające na papier, nie są zdolne wyrównać dwom, na które, powtarzając je niejednokrotnie, Chodźko zużył najświetniejsze farby, najsubtelniejsze cienie: księcia „Panie kochanku” i księdza Ambrożego Dowiata.

Księcia „Panie kochanku,” popularną na Litwie, legendową postać, przedstawił w różnych dobach jego żywota, rozbawioną i łaskawą, gniewną i chmurną, serdeczną, gdy potrzeba, to znów arogancyi i fantazyi pełną. Jakiż wyborny, pełen humoru despota występuje na syndykostwie w Nieświeżu. Jaki rozzłoszczony na ekonoma, bijącego parobka, tak rozzłoszczony, że i mowy kahału nie chce słuchać i obiadu u pana Preciszewskiego nie

przyjmuje i ofuknął się na niefortunnego gońca, zwiastującego mu przybycie akademików smorgońskich, i swego nadwornego błazna Kossowskiego gromi. Za to w Szemiotowszczyźnie, u pana Sulistrowskiego („Dwórki na Antokolu”), jaki łaskaw, popularny, choć do rany go przyłoż. Wstaje od stołu do łez rozczulony wiwatami grzmiącemi na cześć jego, wznosi kielich, po brzegi napełniony starym maślaczem i wykrzykuje z białoruska:

„Sztob w hetoj chaty,
Licha nie znaty“.

A na to kasztelan Oskierka „poważny wiekiem i zacnością urzędu staruszek, oparty na kilofie”, występuje:

„Na pohibel temu
Kto nie szeziry jemu!“

I cała szlachta „hurmem rzuca się w objęcia do łez rozczulonego dostojnego gościa.

Gdzieindziej, śmiejąc się na całe gardło, prawi swoje dykteryjki. Najbardziej jednak malowniczo wygląda w głuchych ostępach Żuprańskich lasów, gdzie go ńcą łowy. Na tle nocnego w puszczy obozowiska, wśród wozów, koni, szałasów, psów warczących, dogorywających ognisk, wśród hojnie podejmowanej i bez różnicy stanu przez księcia ugaszczanej szlachty, wśród zamieniającego się wkrótce w chrapanie ogólne zgiefku, postać „Panie kochanku” występuje w najzupełniejszej harmonii

z tłem obrazu. Niedźwiedź to litewski, jak go nazywała starościna Kapinowska, oburzona jego brakiem galanteryi, potomek Budrysów, z którymi zachował do atawizmu posunięte podobieństwo. Szorstki, zuchwały, z niepohamowaną fantazyą i dumą, łowiec z instynktu, niezapominający też o tem, że jego litewscy przodkowie dzielnie pić umieli.

Na innym wizerunku widzimy go w podróży, na wozie drabiniastym, opakowanym bronią, za którym bieży uwiązany koń osiodłany i wyżeł faworyt. Za nim wali ezereda podobnychże wozów z jego dworem i karoce z gośćmi.

Innym razem widzimy go znów otoczonym myśliwstwem, „z półtorasta konnicy ciągnie traktem mińskim”, i on sam na koniu zmęczonym pędzi kłusem, bez wytchnienia, chmurny, rozgorączkowany. Surwint zabiega mu drogę z oznajmieniem o śmierci Wołodkiewicza.

— Ja nie Szczepanowski — woła ksiązę — wskreszać nie umiem, ale Piotrowinów narobię, zemścić się potrafię! Ha! Barabasze! — i wołając tak rwał się do pałaza... Ale po chwili „złaził z konia, spuścił głowę: *Requiem aeternam dona ei Domine*” — powtarzał i ocierał z łez oczy.

I czytelnik, wpatrzywszy się w prawdziwy nieklamanem wzruszeniem obraz, spuszcza głowę i zamyśla się długo nad tym dziwaczny, a w tej chwili tak sympatyczny, prostym sercem i uczuciem człowiekiem. Jeśli zaś uprzytomni sobie wmyśli to wszystko, co z człowieka tego, mogącego być

bohaterem, zrobiło tylko dziwaka, oryginała typowego, to może też „otrze z łez oczy”, szepejąc, do nieskończoności przedłużające się: *requiem*...

Za tą wysuwającą się naprzód postacią „Panie kochanku”, niby za postacią wodza, zgiełk i ciżba, cała tłoczy się szlachta. Jej odmian, jej typów, wiernie pochwyconych przez Chodźkę, nie zliczym, wskażem wybitniejsze.

Jeden z rycerzy cofa się w głąb, przysłonięty cieniem legendy. Niby przykuty do dzielnego rumaka, „urody słusznej i tuszy odpowiednej, oblicze ma mężkie, oko czarne i bystre, czoło szerokie i głębokiem bruzdami od częstego marszczenia oznaczone, kontusz z karmazynowej sajety lecz podszarżany, w szpince u szyi karbunkuł gorejący, pałasz i pistolety bogate, w srebro oprawne, ostroga nawet srebrna.” Do warg hardych przylgnęło mu przysłowie „dźwięk”, przypominające łamanie się stalowej klingi. Poplecznik Sasów, zacięty wróg Szwedów, Jan Dadzibóg-Goleń Niewiadomski, starosta antowilski (Wykłęty).

Za nim, na stępaku, Jan Suraż, *Bekieszko* przewany. Szlachcie niski, krępy, w granatowej, podszarżanej bekieszce, „okrągłych i rumianych poliezków do dwóch połowin ezerwonych jablek podobnych, z wąsem podsiwiałym i jak dwa sute pędzle na usta zwisłym, z niską a rogatą magierką na bankier na ogolonej głowie przysiadłą... z długim i szerokim, na pozór, do jego figury niestosownym, mieczem u boku, którym w potrzebie zręcznie i sil-

nie władać umiał, a z olster u siodła dwie butelki, jak kukulki z cudzego gniazda, nieśmiało wymyka ją szyjki". Za wiernym druhem tłuszcza partyzantów, towarzyszków różnej broni, różnego kalibru.

Tam znów, w drzwiach plebanii, za niskich na jego urodę, stanął „Samson czy Herkules, bo do obu tych historycznych siłaczy porównały się mógł, człek przystojny lecz razem rubasznej i zuchwałej miny” pan Żegota z Milanowa Milanowski, „zawzięty jak mazur, uparty jak Żmudzin”. Biada temu kto mu na drodze stanie! Ma wiernych za sobą luzaków: Poroczkę i Norejkę. Gdy chrząknie „aż drży ziemia”, kiedy pije, to jednym łykiem; „ani susi ani pusi”—jak mówią Żmudzini. Kiedy rąbie, to nie pląży. Padnie w oczach kochanej Dosi, przeszyty rywala strzałem.

Gdzieindziej pan Świeboda w żupanie „werdragonowym, dobrze wprawdzie podszarzanym, ale przecież jeszcze nie dziurawym, ani łatanym, w pasie słuckim i kurtce sukiennej na opasce, spiętej na guzik srebrny pod szyję. Urody on nie wysokiej, przytem przychromywa na prawą nogę, bo go na którymś sejmiku w piętę postrzelono. Na twarzy jego dyabeł, jak to mówią, grał w tryszaka, pokrostowana ospą, pokieraszowana od pałasza. Kłębów p. Świeboda niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czem się trzymać i wlecze za sobą swego *Harasima*. Z furdymmentem jak kocia głowa, pałasz to szeroki, prosty i ciężki jak sztaba żelazna. Pan Świeboda chudy wprawdzie pacholek,

lecz w kaszę sobie paniczom dmuchać nie da, nie pozwoli nazywać siebie „Strelczykiem”. Obok Świebody Rudomina, pan całą gębą, wąs sumiasty, mi-na zucha: hulaj dusza bez kontusza! Ot i wiedzie za sobą kapele: sześć „pięknych, młodych, rosłych, a opieklých dziewczek” z waltorniami. Gdzieś w głębi tymczasem Reut wymowny przygotowuje mówki; podkomorzy Sielicki ani myśli o wycieczce za morze, boby go podkomorzyna nie puściła, Podwiński „głowacz wielki, ale filigranowej roboty”, pije mało, mówi mniej jeszcze, słucha uważnie—znać medyatora, co powszechny jedna sobie szacunek. W ciżbie tej na minach buńczucznych, na herkulesowych postawach nie zbywa. Oto jeszcze jednego mamy olbrzyma, Taturę. Naprzeciw Goliata z gąszczy borysowskich lasów wysuwa się pacholę wpół dzikie, oszarpane, podrapane na twarzy, rękach i odzieży, może przez niedźwiedzie, których dzieli igrzyska? „Siwy jak gołąb” ojciec, sam łowczy, na łowczego wychował Pietraka, nie zapomniał mu jednak wpoić, że jest szlacheckiego rodu Wołkanowskich, *ab antiquo* herbu Radwan, odroślą. To też pacholę bije się jak szlachcic, staje naprzeciw Goliata, wyzywa go, szydzi. Za tą, osobliwszych zapaśników, parą, szerokiem półkolem sterczą łby golone lub tyse, policzki „rumiane i pękate, wąsy szorstko nastrzępione lub suto zwisłe, oczy żywe i wejrzenia surowe”. Na widzach „kurty zamaszyste, borsucze torby, juchtowe szerokie pasy ze sterzącymi w nich rogami z prochem, flinty w rękę.” Straszne figury

straszne... gdyby nie wyraz na ogorzałych ich twarzach „spokojnego sumienia, dobrej myśli, szczerości i rubasznej swobody”. Pozór burzliwy, grunt poczciwy i bezpieczny.

Dla dopełnienia tych typów, od których odebrać się i pomiędzy którymi wybór uczynić trudno, tak wszystkie są przewyborne i z równą oddane plastyką, mamy komiczną postać pułkownika *Murmuluka*, „figurę wysoką, chudą, wyperukowaną, a ustrojoną w jakiś *per modum* wojskowy cudzoziemski mundur”. Mamy nadto na tle swojskim wybornie z natury przerysowaną postać bardzo sympatycznej odmiany litewskiego szlacheica z rycerskiego stanu, Tatara Amurata. „Lat z górą pięćdziesiąt, łysy, wąs zawieszisty, nie po dworsku zakręcony i gumowany, a suty i obwisły, że mu aż głębę zakrywa. Facies przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka wydaje jego progeniturę. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie”. Przy boku takich Amuratów, dzięki przezornej polityce Witolda i asymilującą właściwością starych praw i obyczajów narodowych, bywały „damascenki z klingą prawdziwą turecką, ale furdymment naszym” — gatunek wyborny! przedni w rycerskim rzemiośle, „rozcinający bagnety jak świeczki”. „Tatarskie — mawiał Amurat — prawe i ogniste serce, to klinga! Szlachecka mowa i głowa, to furdymment”.

Na pierwszy plan w tym kole rycersko-szlacheckich wizerunków wysuwa się niejednokrotnie

postać poręcznika Tadeusza ze Stelni Stelnickiego, herbu Róża. Przypatrzmy się mu w chwili, gdy w Szemetowszczyźnie u p. Sulistrowskiego („Dwórki na Antokolu”) „bierze asumpt do rekomendowania siebie jego książęcej mości od niedźwiedzia... oficer pińskiej brygady *quondam konfederat* mospanie. Ubiorem chce on zda się wytłómaczyć widzom, że był żołnierzem, że nim już nie jest, lecz, że kocha swą wojskową przeszłość i od jej znaków odwyknąć nie może. Na białym atlasowym żupanie krótki, granatowy kontusz, po wszystkich szwach i brzegach złotymi sznurkami oszyty, spięty zamiast pasa takimże złotym szerokim pendentem zapiętym srebrną blachą, na której cyfra królewska jaśnieje, a na nim krzywą turecką szablę zawiesił. Na lewym ramieniu suta mu szlifa, przez piersi zaś taśma z szerokiego galonu z ładownicą z blachy złotej błyszcza, do tego ogniem świeci brylantowa spinaka na szyi i takiż pierścień na rękę”. Postać szumna i huczna, jowialna, ruchliwa, dobroduszna, elegancka w obejściu się z damami, jak oto widzimy na reducie w Wilnie, na którą wiódł starościeną Kapinowską, *de domo* Sapieżankę. Postać hojna, łaskawa na młodzież, wdająca się czasem w dyplomacyę, iście po szlachecku i po wojskowemu. Postać malownicza we wszystkich swych zwrotach, do niej też ze szczególnem zamiłowaniem przyłgnęło pióro Chodźki — a potret ten godny pędzla Velasquez'a.

Obok tego jaskrawego portretu, drugi w łągo-

dnych trzymany tonach, młodzieńca w żałobie, zatem w kontuszu z cienkiej czarnej sajety na żupanie czarnym, atlasowym. Ta blada postać kochanka ożywia się, gdy Ludwik Dowiat dosiada araba, wyprowadzonego ze stajni pana Sulistrowskiego. Koń próbuje zrzucić go z siebie, lecz jeździec „przyrósł zda się do niego” I jeździec i koń wyglądają przepysznie!—tak jak w Palazzo Rosa (Genua) słynny portret kulawego Brignole.—Sale. Galerya byłaby niekompletną jednak, gdyby w niej brakowało dworaka. Mamy go w osobie pana Aloizego Sulistrowskiego, pisarza wielkiego litewskiego. Jakże odbija od tłumu szlachty sejmikującej w Usaczu! Dworak, słynący z dobrej głowy, układny, cichy, nie jedna sobie popularności i nie dba o nią. „Bez oracyi, bez argumentów i traktamentów”, na które szlachta taka hojna, „wszystko ukartować umie na osobnych z każdym konferencyach” („Pamiętniki kwestarza”). Na sejmikach, między szlachtą, to jeszcze czasem wystąpi „w kontuszu i perskim pasie, ale na naradę, bogdaj prawną, z ładną chociażby i przejrzałą kobietą, włoży z najcieńszej ciemnej wigoni, bez żadnych ozdób taratatkę, szyję obwinie czarnym miękkim bławatem, który zepnie soliterem”, nie zapomni o gwieździe orła białego, dowodzie świeżej monarszej łaski („Dworki na Antokolu”).

Na przeciw portretu pana Sulistrowskiego spotrzegamy odpowiedni mu w tonie portret niewieści, jedyny może, z wyjątkiem „Panny respektowej”,

nad którym pióro Chodźki zatrzymało się dłużej, gdyż, rzecz dziwna, ten, który w charakterystyce mężów o najdrobniejszym nie zapomniał rysie, matrony i dziewice rysował szablonowo, zaznaczając ich istnienie i koniec. Na pańskich dworach tu i owdzie mignie robron, w skromnych szlacheckich dworkach błyszczą charakterystyczniejsze, a nawet czasem—jak w „Dworkach na Antokolu”—wcale ładne niewieście lica, są one jednak blade w porównaniu z mnogością męzkich typów, które Chodźko uwiecznił na papierze. Dlaczego? Dlatego zapewne, że światek nasz kobiecy, z natury rzeczy, przedstawiał mniej obfitą kopalnię indywidualności, a co za tem idzie i oryginalności. Kiedy się wszystko składało na to, aby istotnie—jak to Chodźko zauważył (t. III, str. 96) ze stanu szlacheckiego wytworzyć „Kalifornią” dla utalentowanego pisarza, jeśli w odległej przeszłości niewiasta polska rysowała się typowo na tle dziejów historycznych i społecznych, osiemnasty wiek zepchnął ją na stanowisko, wybitniejsze we względzie towarzyskim, lecz pospolitsze. Odębności, zwłaszcza w wyższych warstwach społecznych, zacierały się, wyrazistość bladła pod ogładą ogólniejszą. „Matrona” ustąpiła miejsca „damie”

Mamy też w osobie starościny Kapinowskiej *de domo* Sapieżanki, portret damy wytwornej, zapobiegliwej, bardziej próznej niż dumnej, nieco intrygantki, zalotnej gdy, tego interes wymaga, nie wdającej się zresztą w zbyt tklive sentymenty ani

dla męża, ani dla córki jedynaczki, której uczucia wcale jej nie wzruszały dopóki nie został:

Radziwiłł swatem
Za panem Dowiatem“.

Jakże zabawnie obok tej damy wygląda mąż jej. Starosta w szlafroku i szlafmocy, dnie całe trawi w wielkiej sali, obitej wypłowiałem, wyobrażającym polowanie na jelenia obiciem. Na kominie pali się ogień, przy kominie na stołku siedzi hajduk stary „z wytartym na kołnierzu galonem,” który dzień cały „podnosi żar“ do fajki starosty i rozrywa go lub usypia bajkami. Starosta przytem leczy się ciągle i jedyną książką, jaką czytuje, jest lekarska, pełna precudownych przepisów, doktora Pedymontanusa, wydana w Supraślu w r. 1754 („Dworki na Antokolu“). Portret staro-szlacheckiego safandudy!

Do nowszych trzeba zaliczyć panów Chomińskich, stolnika, wożącego się ze swym raptularzem, w którym jest wszystkiego poddostatkiem, poczawszy od oracyi na przeróżne okoliczności, skończywszy na „responsie damy, danym piętnastu kawalerom“ i Wojewody, tłómaczącego Racine'a i Delilla „koncepującego tragedye i fabuły“. Widzim ich w altanie, w Dziewiętni. Do koła sad stary, w głębi dwór szlachecki. Wojewoda z francuska ubrany deklamuje z ogromnym zapalem, od czasu do cza-

su chłodząc się piwkiem. Z uwagą, wpadającą w przerażenie, przy opisie smoka, mającego poźreć Hipolita, nieszczęsną ofiarę namiętności „Putyfarrowej“ czyli raczej Fredry, słucha go starzec „wzrostu wysokiego, dość otyły i krzepki, z twarzą śniadą, rumianą i mocnych namiętności nie wyrażającą, ozdobioną wąsem siwym, miernej wielkości, z głową wysoko podgoloną“. Starzec ubrany w bielućki żupan, gospodarz domu, Wojski oszmiański. Przez lipową aleję idzie ku nim stolnik, niski, pękaty, strojny: „pas lity, jedwab, sajeta na szatach“. Żywy, uśmiechnięty, facecyonista, nieprzyjaciel „pogan Francuzów“, „dyabła Woltera“, z niedowierzaniem poglądają na *muzy* swego brata, gdyż wątpi, aby boskie dziewice przemawiały do swych wybrańców „po francusku.“ („Dwie konwersacye z przeszłości“.

Ale któż zliczy typy, tak plastycznie, z tak doskonale pochwyconą charakterystyką oddane. Musimy rozstać się z nimi, gdyż wołają nas inne, od tych różne, wchodzące jednak tak dalece w skład narodowy i szlacheckiego stanu, że bez nich obraz, tegoż stanu byłby nie zupełnym i nie prawdziwym. Od szlachty zbrojnej i orężnej, od sejmikującej i hulającej, od margrabiów i dworaków, przejdźmy do pracującej, głową, piórem lub lemieszem. Z dworów w Olyce i Nieświeżu, z rynków miasteczkowych, z ostępów w puszczy rozbrzmiałych trąb myśliwskich i psów graniam, zstąpmy do cichych zagród wiejskich, do klasztornych cel i korytarzy. I tu

pełno i tu gwaro, a choć barwy mniej świetne, rysunek równie wierny, rysy równie głębokie i dosadne a gra światła i cieni, cieniowanie postaci przedniejsze nieraz niż w olśniewających wizerunkach które przebiegliśmy dopiero. Tycyan i Van Dyck ustępują miejsca Rembrandtowi i Giorgione.

VI.

Naprzeciw butnej, hałaśliwej postaci „panie kochanku“, którą wysuwa naprzód jako postać wiodącą, typ nad typami, gromadząc dookoła mniej więcej pokrewne z nim typy, Chodźko wysunął również na pierwszy plan postać zakonnika, trynitarza, X. Abrożego Dowiata „za młodu sławnego trybunalskiego mecenasa, teraz *Procurator Causarum* klasztoru antokolskiego *Fratrum de redemptione Captivorum*“. Żadnej z postaci swych nie rysował i nie odcieniował tak starannie, żadna też w tym zbiorze barwnym nie jest tak subtelną i głęboką („Dworki na Antokolu“). „Mnich surowego oblicza, z czerwonym krzyżem na białym habicie“ przesiaduje w gronie familijnem, w skromnej izdebce jednego z dworków Antokolskich. Jego to zasięgają rady, jego słuchają jak wyroczni. On „luminarzem“ w rodzinie. Karei bratową i synowicę za ciągnie-

cie kabały i pali grzeszną książeczkę. Oszczędny, parę groszy wyrzuconych śpiewakom nazad zgarnia do woreczka. Widzimy go w ciągłych ze skarbnikiem naradach. Widzimy u ołtarza odprawującego mszę świętą, której porucznik słucha „trzępiąc co pamiętał łacińskich i polskich modlitwek.“ Widzimy wybierającego się z klasztoru w drogę, z tymże porucznikiem, chociaż reflektuje go, że „zakonnikom *cum clangore* jeździć nie wolno, ani wypada“, karci żywo za przeróżne *blasfema* żołnierskie i *dubia* teologiczne. O mało nie przychodzi do sprzeczki pomiędzy tymi dwoma tak mało dobranymi towarzyszami podróży. Dowiat staje przed nami jako człowiek dobrej głowy, krewki, wymowny. Nigdzie jednak nie rysuje się tak wyraźnie i tak subtelnie, tak malowniczo zarazem jak w celi klasztornej, przy bładem świetle lampy, gdy na odgłos kroków zbliżającego się skarbnika, odpycha statut, który studyował namiętnie i otwiera pośpiesznie brewiarz. Próżne usiłowania! z ręcznie potraconą przez brata struna, pełnym odpowiada dźwiękiem, X. Ambroży zapomina o ślubach i zakonnej celi; wpada w zapał oratorski, zdaje mu się, że stoi przed „najjaśniejszym trybunałem“. „Błode ognisko świecy zaledwie rozsuwa pociemek celi, wysoki i wyschły mnich białym habitem obleczony, z krwawym krzyżem na piersiach, ze wzrokiem gorejącym pod wysokiem, nagiem a chmurnem czołem, z twarzą paraginową, a jednak w całości swej znakomitą i upartą, a wiekiem nie złamanej energii noszącą piętno”

jest znakomitą postacią i istotnie „łatwo mogącą zastanowić każdego“, kto na nią spogląda. W tem, *Silentium* przerywa gorący potok jego wymowy, przerywa prawną, i familijną, a zajmującą go tak żywo naradę. Przycicha, gaśnie niby, klęka przed Ukrzyżowanym, modli się kornie i również namiętnie jak przedtem do „najjaśniejszego przemawiał Trybunału“, woła: „*Miserere mei Domine, secundum magnam misericordiam tuam.*”

To *consilia* patrońskie, to stare swe grzechy, ciężkim tym *miserere* odkupuje. Cóż męża tego mogło zaprządz w zakonne jarzmo? Za młodu, słysząc w słynnych cudownym obrazem Żyrowicach¹⁾ pieśń kantyczkową:

„Tu pan Tryzna,
Sam to przyzna
Byteń na zakon daje“.

podszeptał patronowi swemu (Antoniemu Tyzenhauzowi) myśl „o spoliacyi“ zakonu. Odtąd „na żaden obraz Najświętszej Panny oczu podnieść nie mógł“, szkaplerze na piersiach paliły go jak suknia Dejaniry—oj! „adwokatowi trudniej jeszcze, niż bogaczowi wejść do królestwa niebieskiego“. Jako restytucya, sam siebie, za radą jakiegoś teologa z *Societatis Jesu*, poświęcił Bogu... Lecz trudna sprawa ze staremi, w krew wsiąknięmi nałogami... Odtąd,

¹⁾ W gub. grodzieńskiej, pow. słomińskim, były klasztor bazylianów i szkoły, obecnie prawosławne seminaryum.

ciągłą wewnętrzną walkę toczą w nim nałogi stare, i pokutnicze wyrzuty sumienia... Te ostatnie wybuchną w salonie starościny, gdzie o wszelkich swych prawnych argumentach, o sprawie ważnej, co go tam sprowadza zapomni wobec wiszącego na ścianach obrazu, przedstawiającego legendę cudownego targu i kupna przez księży Trynitarzy, od Turków, tej statui Pana Jezusa, która w kościele, na Antokolu, cudami słynęła, a którą po 1863 r. przeniesioną do kościoła Św. Piotra, po dziś dzień w jednym z ołtarzów tegoż kościoła oglądać można¹⁾.

Jakże odmiennie wygląda ksiądz Definitor, („Pamiętniki kwestarza”), kapłan, w którym się wszystkie ziemskie przepaliły uczucia. Ostatniem była na wpół duchowna, mistyczna ciekawość widzenia bohatera wieku—Napoleona, i słabostka ludzka, co bezdzielnemu zakonnikowi, w ostatniej dobie, zaprzęta myśl zostawieniem w upominku najbliższym sereu szczupłego mienia: zegarka, parasola, tabakierki, kałamarzyka podróżnego, wreszcie precyozny, krzyża złotego z partykułą drzewa świętego, daru Radziwiłła, pamiątki po kardynale, który „zostałby papieżem, gdyby tam, „panie kochanku”, jakiś Włoch, w czasie sejmików w Rzymie, jakiejś mu tam kondemnaty nie zarzucił”.. Ostatnie przebłyski ludzkich uczuć pogasły. Ksiądz Definitor

¹⁾ W r. 1844 roku kościół Trynitarzy na Antokolu, w Wilnie, zabrano na cerkiew.

pragnie tylko duszę polecić raz jeszcze Bogu i choć to nocna doba, przez ciemne korytarze zleca bratu Michałowi Ławrynowiczowi wieźć siebie z kościoła. Jedna w tabernaculum lampka nocne rozpraszała mroki, lecz ojcowie zeszli się i klękli w oddali. Ks. Definitor na klęczkach utrzymać się nie miał siły, więc legł krzyżem... i nie wstał już więcej. Gdy się ojcowie i bracia przekonali, że nie żyje, trzykrotne *requiem* rozległo się po ciemnym kościele... Cicha śmierć u stóp ołtarzy! a tam na zewnątrz „wre, kipi” ta ruda, którą wielu hutnik na krzyżową jakoby miał przetopić formę, lecz z której lał śmierciodajne oręże i kule...

Dalej szkicowy wizerunek wiejskiego plebana. Siedzi z gośćmi na ławeczce, pod brzozą i popija cieńkusz, („Pamiętniki kwestarza”) cytując przytem ciągle Pismo święte. Prosty, łagodny, pokorny, ubogi, taki, o jakich Jakób święty pisze w „liście powszechnym”, że są bogaci w wierze i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym, „którzy go miłują”.

Jeszcze bardziej odmienną, w najwyższym stopniu plastyczną jest tradycyjna postać samego kwestarza. Eks dworak, bywalec „nie dość „samowity”, jak to furman Marcin zauważył, na kwestarza, bo nie dość natrętny, lecz koncepcista wielki, bystry, obserwator nielada. Przeszłość burzliwa, szlachecka, nie przestała dla niego istnieć, umitygował się tylko, lecz z ludźmi, ze światem nie zerwał. Obchodzi go żywo wszystko, co się dokola

niego dzieje, choć ze wszystkiego ciągnie korzyść na chwałę Bożą i swego klasztoru. Tylko świat przestał się nim interesować... teraz jedyni jego przyjaciele są barany prowodyry, które biegną mu do rąk na zawołanie. Mamyż się dziwić, że mu się serce ściska na ostatnie żalosne beczenie *Jonasza*, „ginącego pod bagnietami kamratów?” Toć ostatni jego przyjaciel! Towarzysze młodości odbiegli, pozostały mu same ogniem i winem, złotem i karmazynem, połyskami stali i bruzdami cięć od szabel malowane... wspomnienia... Ach ta jego szabelka, „Elżutka” serdeczna! Jak Definitor wielkiego „hutnika”, tak on ujrzy ją przed śmiercią, w dzielnej dłoni Władysia Świebody, syna znanego nam pana Stanisława, który starszemu synowi „za przyjaciela i sekundanta” dał „Harasima”, młodszego zaślubił z „Elżutką”. Odnalezienie szabli jest ostatnim aktem „pamiętników”. Odtąd kwestarz milknie, bo i cóż pozostaje mu do powiedzenia, tym wywoła ją z pośród mar przeszłości odbiegłych, lecz nie zapomnianych, tę właśnie, której ostrze rozcięło na dwie odmiennie, niepodobne do siebie połowy życia ich lub serce? „Takie rozpołowienie najpospolitszą w życiu jest rzeczą”, jak to pięknie i głęboko mówi u Chodźki kapłan, odmiennego od wyżej przytoczonych wyznania, jedna z postaci, zdobiących nieudolne zkądiną „Nowe pamiętniki kwestarza”, Rabin. Spozstrzegamy go w gościnie w klasztorze bernardyńskim na dyskusji z braćmi. „Na codzień nosi żupan z białej opony... kapeluszy biały, pod nim jar-

mułkę ze złotogłowiu i pas z takiejże litej materyi; wszystko to atrybuta jego patryarszej godności, na którą go, jak powiadają, siedmiu najmędrszych z całego świata rabinów w Amsterdamie koronowało. Figura sucha, widać nad księgami zawiędła i nie osobliwego, ale gdy zaczął mówić, tobyś go słuchał cały dzień tak czysto po polsku i tak argumentalnie rzeczy wywodził”, chociaż wshednie pochodzenie nasuwało mu ciągle hiperbole. Głęboką też jest hiperbola o rozdwojeniu. Patrząc na zegar tak mówi Salomon:

„*Indeks* to życie! idzie godzinami jednostajnie, powoli, nieznacznie; waga w dół ciągnie, do mogiły! a penduł to myśl ludzka, waha się nieustannie na dwie strony:—Tak, nie, tak, nie, to jest: wierzy, nie wierzy—wierzy, nie wierzy. Kiedy waga stanie na dole, indeks ustawa na zawsze, penduł staje: tylko nie wiadomo wtenczas na której stronie był on raz ostatni: czy na nie? czy na tak?”

Pod takim pendulem znajduje się już najwyraźniej jedna z najtragiczniejszych postaci tej obszernej a tak urozmaiconej galeryi, z której tragiczność, na pierwszy rzut oka przynajmniej, zdaje się usunięta. To też w sam kątek, gdzieś u dołu, u samego, wcisnął się neofita, brat Piotr, uczony syn rabina, pozyskany dla kościoła, którego luminarzem miał zostać, przez księdza Hromyka. Ale Abel, vel Piotr, nie został luminarzem. W rozszarpanej duszy jego Majmonides równoważył Chrystusa, ewangelia wiodła kontrowersye z talmudem.

W sobotę modlił się po dawnemu, w niedzielę płakał w kościele. Czy on dwóm panom służył, jak to podejrzewał brat Jaręga? Słuszniej, zauważył rabin Salomon, że nie był „ani waszym, ani naszym i poszedł za trzecim... stał na rozdrożu, błąkał się, ściagał tajemnice rozumem, naciągał nadto zardzewiałą sprężynę życia ludzkiego... więc i pękła...”

— Czy zwaryował?

— Tak, nie—tak, nie.

— A czy wiesz, panie Salomonie—pytał gwardyan—a wiesz zapewne, bo czytasz wszelkie księgi, a nawet bogdaj greckie, że była w Grecyi sekta filozofów, tak nazwanych sceptyków, którzy o wszystkim wątpili. Czy mieli oni rozum?

— Tak, nie—tak, nie!

Rozpołowienia te bywają częste, lecz, by je zrozumieć i wiernie pochwycić trzeba pewnych subtelności pojęć i pióra, które nie wchodzą w skład właściwości talentu Chodźki. Przewyborna jego plastyka i wierność, pozwoliły mu wprawdzie skreślić powyższe postacie znakomicie—znakomiciej może od innych, gdyż przedstawiające trudności do zwalczania, odrobił starannie—temperament jednak i właściwości talentu, pociągnęły go do gatunku odmiennego, do ludzi jednego rzutu, jak to już zauważyć mogliśmy w ciżbie szlacheckiej, którą portretował. Takim też człowiekiem jednego rzutu, jednego ciosu, barwy jednolitej jest skarbnik Dowiat. „Lat około pięćdziesięciu, twarzy ściągłej, bladej, ospą poszczepany, pokropiony piegami. Oczy jego

ku ziemi spuszczone i martwe na pozór, gdy się jednak podniosły i stałe na kogoś wlepiły, pochłaniały w sobie nietylko wszystkie wyrazy ale i wszystkie myśli, napróżno za wyrazami kryć się usiłujące. Włosy nad brwiami równo jakby pod linię ostrzyżone, zakrywały mu czoło a z tyłu głowy spadały szerokim wachlarzem.“ („Dworki na Antokolu“). Postać prawnika, sensata i statysty, pedanta zimnego, skąpego a przebiegłego... mówiącego mało, słuchającego cierpliwie, z powiną dla każdego *rewerencyą*, z ręką lewą skromnie za pas założoną a prawą, ozdobioną krwawym herbowym pierścieniem, do gestykulacyi także skromnej „gotową...“ Skarbnik szepee tu i owdzie po słówku „trafnie, *ad rem* i *ad chominem*“ i jedna tem sobie więcej *respectu* i zaufania niżeli „nieuważny krzykacz tłumiący bardziej, niżeli przekonywający stronę i sędziów.“ Budzi on większy *respect* i zaufanie od krasomówczego Antonowicza „z zarzuceniemi na ramiona wyłotami karmazynowego kontusza, pokręcającego kruczego wasa“ („Dworki na Antokolu). Dla pana Antonowicza nie ma sprawy zbyt „ważnej“ ani zbyt sensacyjnej. Chyba jedną taką pamięta. Na grodzieńskiej kadencyi, sprawę podskarbiego Tyzenhausa z królem...

Tu czytelnik wybaczy małe odstępianie od przedmiotu. Chodźko napomyka parę razy o podskar bim i żałować wypada, że nam nie zostawił wizerunku męża tego, że właściwe przymioty jego pióra, plastyka i charakterystyka, nie przeciągnęły

i nie utrwały popularności tej niegdyś tak popularnej postaci. Chodźko mógłby to uczynić. Z dwóch rysów, tak szybkich, że ich nawet szkicowemi sylwetkami nazwać niepodobna, rzuconych w przelocie na cofającą się w cień dziejowy wielką i ciekawą postać podskarbiego, spływają już dwie smugi charakterystycznego światła. Pierwsza pada z rozmowy ks. Ambrożego gdy oratum opowiada, jak, w Żyrowicach, słuchając kantyczkowej pieśni o darze pana Tryzny, szepnął na ucho Podskarbiemu, że wypadaloby rzecz tę w metrykach litewskich sprawdzić. Podskarbi „obejrzał się, kiwnął głową i dalej się modlił“. Zamiar został powzięty nieodwołalnie. Tyzenhaus nie był zdolnym, jak jego plenipotent, ucuć żal skruchy, cofać się, „zaspać gruszek w popiele“. Czynny, energiczny, w gnieniu oka ukartował plan cały i przeprowadził śpiesznie, nieodzownie. Pobożność trzeźwego podskarbiego — a podskarbi był bogobożnym i w niedoli, a w obezwładnieniu w gorącą nawet popadł dewocję — nie prowadziła go do kompromisów z duchowieństwem. Modlitwa modlitwą, prawo prawem, jednakowo obowiązującym ludzi wszelkich kondycyi i stanów.— Jeśli kto, to podskarbi nieznał żadnych rozpołowień. W tym względzie smugę światła rzuca na niego opowiadanie pana Antonowicza, o owej sprawie na grodzieńskiej kadencji, kiedy Tyzenhaus oskarżyciela swego biskupa pozwał do przysięgi, w zarzucie korumpowania świadków i sędziów:

„Pioruny siarczyste!—wołał—czemuż nie bije-

cie w tę infule! Dwadzieścia lat blisko, jak tu się w Grodnie znajduję, a pierwszy raz stawię się w tej izbie, ażeby pokazał: *Ecce homo et opera ejus!*— Ta to ręka, która pisze dla mnie *mane, tekel, feres!* Ja przysięgam, Boże mię ubij na duszy i na ciele, jeżeli kiedy korumpowałem świadków lub sędziów. — Przysięgaj, klękaj mości księżę biskupie!“

„Włosy na głowie powstały — dodaje Antonowicz, wzruszony samem wspomnieniem tej sceny — kiedy piorunującym głosem to wykrzyknąwszy, porwał za rękę biskupa i ciągnął przed krucyfiks. Zdawało się, że powtórzy się akcja Bolesława ze Szczepanowskim“.

Dwa rysy, krótkie, szybkie, rzucone w przelocie, od niechęcia, epizodycznie, ale jakże wyraźne! jakie wymowne!

Wróćmy do rzeczy. Za Skarbnikiem i Antonowiczem tłoczy się różnorodna palestra. I tu nie brak na odcieniach, na charakterystycznych rysach. Widzimy Bohomolca, pochylonego nad Sentencyonaryuszem. Widzimy drzemiącego w marszałkowskim krześle Zaranka. Pokornych i dobroduszných obrońców swego klasztoru, karmelitów Głębockich: pana Braclawskiego, na którego „policzkach widać, że zgwałcił konstytucję, obowiązującą sędziów, aby *sane mente* sprawiedliwość świętą—szafowali“. Widzimy pracujących aplikantów, tak wybornych, tak młodych, a dalej („Pamiętniki kwestarza“) Kwetkę, wyrokującego, że „*teologia i jurisprudencja* to

dwie osobne *sciencye*, które trudno czasem pogodzić". Wysuwa się z tłoku sądów „taksatorsko ekssydwizorskich”, („ostatnia serya ekssydwizy”), mecenas Grzegorz, który „drogę życia przebiegł, wołając na innych: prawo! prawo! a sam zawsze szedł na lewo i dlatego nigdy się nie zaczepił”. Figura „sucha, wymokła, zawędzona, przedłużyła się długą bocianią, naprzód wysuniętą szyją, a kończy głową splaszczoną na skroniach i policzkach, co tem wydatniejszym czyni nos pana mecenasa kobuziego kształtu z bogatym na końcu rubinem”. Figura m' zerna, nie nie mająca wspólnego z prześwietną palestrą szlachecką, która się naprzód wysunęła, pieniacz, „czyhający na zjazdy, zajazdy, inkwizycye”... Protoplasta grasującej dotąd szarańczy pokątnych doradców.

Naprzeciw pieniacza i krętacza występuje obrońca *sui generis*, Dagocki, stary domownik bankruta, poczciwiec, który, chcąc produkować przed sądem dowody jakies, wyjmuje z kieszeni różne różności: receptę na ochwat i assekuracją XX. Dominikanów, że trafi do nieba. Tam znowu młodzik, elegancko ubrany, nadmienia coś o „nie formalności zapisów”, lecz go szybkim, gorączkowym ruchem ręki odsuwa od stołu sam bankrut. Zagrała w nim okrzyczana dziś, bo i rozwodniona krew szlachecka! Żył nad skalę, szalenie, niebacznie, ale na kręcielstwo oburzyły się w nim stare instynkty. I dla niego, jak dla ks. Ambrożego, niema przedawnienia. Nie, nie uznaje on żadnej „nieformalności” w swych

długach. Za podpis ojca „ręczy sumienie jego, za własny honor, i na zaspokojenie pretensyi oddaje ostatnią stopę posiadanej ziemi, ostatni ubiór, który ma na sobie”. Dziś zmieniły się czasy. Podobnie honorowy i ucziwy bankrut krukiem białym wzgrai hołoty, co z cudzego dobra buduje sobie nowe korabie, dla wypłynięcia na fortuny fale.

Pomiędzy magnatami i ryerczami, pomiędzy jurystami, rolnikami i kapłanami, karmazynami czystej krwi, wówczas nawet, gdy nader skromne stanowisko w szlacheckiej zajmują hierarchii, płaczą się arlekiny szlacheckości „*facies* szczególniejszego gatunku, hardopyszki”, przechwałki dorobkiewcze świeżej daty. („Drugie pamiętniki kwestarza”).—Poznajemy w nich, po wielu wspólnych rysach, protoplastów rozrodzonej dziś pseudo-arystokracji. Chorażyna („Brzegi Wilii”) z czterema córeczkami i guwernantką „*nienkinią — francuską*”, czyż nie jest prababką rodzoną niejednej damy wychowującej córki w „*Sacré-coeur*”?

Wróćmy do sympatyczniejszych typów, do tych, od których odwróciła się *fallax fortuna*.—„Dziad fundatorem, a wnuk przy tymże samym kościele zakrystyanem“, znane to dzieje. Miłe nas ogarnia wrażenie, gdy wchodzimy („Pustelnik w Proniunach”), do chatki Chojeckiego. Ubogo tu, lecz chędogo, jest ład, jest „grzeczność dworska”, poczucie godności, są z lepszych lat pamiątki, nadzieje na dzieciach i wnukach, zadowolenie ze skromnego bytu.

Piękniejszą jeszcze *straża* w puszczech Radziwiłłowskich. Weszło tu i ochoczo, panna Anna piosenki śpiewa przed swym „*per modum* kawalerem Żabczycem, a na tle kniei pięknie rysuje się postać czerstwa podłowczego Bielewicza. Z rana po lesie rozlegają się piosenki i hukania „synków podłowczego: ho! ho! kot! kot! tu! tu! a pieski tak grają i zawodzą, że aż echo płynie z polany na polanę”.

Jak rycerzy, tak myśliwych—a zawód myśliwski wiele ma wspólności z zawodem rycerskim—Chodźko zebrał kolekcję znamienitą. Cóż to za Nemrod?—pan Tadeusz („Brzegi Wili”⁴). „Pomaleńku, pomaleńku, kategorycznie prowadzi swego rogała”, a potem „tuf! pudło! tuf! tuf! pudło! pudło”.

Z tą swojską figurą współzawodniczyć chyba mogą owi w ogrodowej altanie („Brzegi Wili”⁴) zgromadzeni na walną naradę politycy. Wiek im przytępił słuch, więc głos podnosząc, zwracają się sobie, kląć się na wszystkie bogi, że zachowują tajemnicę europejskiej polityki gmatwaniny! Wojna! co? gdzie? z kim? kiedy? aha! Szwed ją wypowie. Ale komu? Nie wiadomo, to dopiero wiosna wykaże. Ale która wiosna?...

Lecz nie na wojacze tylko, nie na samych sejmikach, festynach, w trybunale w klasztorze i kościele upływało ongi życie. Spora część jego spływała w ciszy domowej zagrody. Na tle, rozświeconym ogniem kominkowym, rysuje się poważna głowa Podeczaszyny („Dworki na Antokolu”) i wdzięcz-

na główka Heluni, postać matrony, prostej i czystej jak łąka, i jak uśmiech niemowlęcia, skromnej i łagodnej dziewczyny, kapłanki domowego ogniska.

Wspomniałem wyżej, że wśród szczupłej ilości niewieścich wizerunków, jakie nakreślił Chodźko, znajduje się pastel znakomity, zatytułowany „panna respektowa”. Nie jest to wizerunek młodej, fertycznej panienki, uwijającej się zgrabnie i składnie na salonach wojewodziny Ogińskiej, robiącej sobie „rum” w każdej kompanii, ale prześliczny portret sędziwej staruszki, od rannego *dzieńdobry*, do wieczornego *dobranoc* ukochanego przez się siostrzeńca, modlącej się za jego zdrowie, za spokój duszy, dawno zmarłego męża i za dusze wszystkich zmarłych krewnych i koligatów. Kiedy niekiedy klóci się trochę, między „modlitewkami, z dziewczętami o śmietankę”... baję długie jak świat historye, przygląda się dokumentowi posagowemu, który wydała jej Wojewodzina i odpędza najlepszą swą przyjaciółkę: kotkę ładnie centkowaną.

W skład rodziny szlacheckiej wchodzili rezydenci. Wyborne typy ich zostawił Chodźko w dwóch starowinach, „przy stoliku niżących ziarnka różańca. Jeden w białym dymkowym żupaniku, drugi w tabaczkowej kapotce, przy jednym trzecina ze srebrną gałką, pamiętka może marszałkowskiej, na tymże dworze piastowanej niegdyś godności, przy drugim klapka na muchy”. Dożywają resztek skromnego i cichego żywota, bając o „gogach i magogach, o kometach, bestyach, smokach, o skończeniu bliskim świa-

ta". Dla nich świat się już skończył, wszystko zmieniło w senne majaczenia, a funkcje życia ograniczają się do grzania piwa i gotowania kawy, do całowania krzyżyków, wiszących przy różańcach i tysiąckrotnie, niestrudzonego powtarzania *Ave Maria*. Tam znów, przy pustej, ogromnej, jaskółczymi gniazdami i starymi portretami oczepionej sali, w pół zrujnowanego pałacu, w komnacie małej, mieszka suchy, wysoki, bladej staruszek: Jędrzej Rombulo, niegdyś sekretarz księcia Wojewody Trockiego, dziś strażnik pamiątek i kronikarz dziejów sławnego Ogińskich rodu. (Brzegi Wilii).

I nie w samych tylko pańskich dworach bywali rezydenci, starzy słudzy, krewniacy, popiecznicy, przyjaciele lub towarzysze broni, myśliwi, rybacy, masztalarze z potrzeby lub powołania. Nawet w skromnym dworku Widmonta, pan Jakób za dach, chleb i sól, odwdzięczał się w pół służbą, w pół przyjaźnią „gotów na zawołanie czy to do rzeczywistej, byle nie długiej, w gospodarce pomocy, czy to do pacierzy, czy to do maryasza lub ćwika, dla zabawienia gości, lub rozrywki gospodarza“.

Po rezydentach słudzy: Marcin, rozwożący kwe-starza, Drukstejn ekonom, Norejko, luzak i najprze-wyborniejszy już wyszukujący w nocy sto-Jańskiej zaklętych skarbów, Żmudzin Mateuszas, z prowincjonalnym swym akcentem. W Dziewiętni sympatyczny stary kucharz, gdera bez ceremonii „paniczów“.

Zanim skończymy przegląd tej galeryi portre-

tów, zastanowić się musimy chwilę w szlacheckiej okolicy, wśród samych szaraczków: Zbrożków, Stańczyków, Borsuków i t. d., oddanych sielskim pracom. Jegomoście to podzyli, poważni, w szaraczkowych, długich, aż po pięty kapotach, w szerokich słomianych kapeluszach. W ich otoczeniu „na szerokiej przyzbie, (nasyp odarniowany około chat wiejskich), siedzi siwiuteńki jak gołąb staruszek, i z kilkoletnim prawnikiem buduje pałac ze szczepek i osypuje piaskiem. Obok leżą dwa pałazsze, bez pochew, pordezewiałe, wyszczerbione. On tych pałazszy odebrać sobie nie da, przekuć na „lemiesz“ nie pozwoli, bo „czemże wówczas mierzyć będziemy obce granice“? Kto wie zresztą. Może pyta stary czy przekują lemiesz na oręż“... Kto wie! Byle „dygnitarstwa Francuzi nie zrabowali“? A w Wilnie, pyta stary, jest jeszcze Najświętsza Panna Ostrobramska i Pan Jezus antokolski? Są, więc dobrze... Łzy mu się puściły po twarzy i na zardzewiałe upadły pałazsze, a bracia szlachta upewnia: że ojciec Szymon „zdziecinniał“!

U samego wreszcie dołu ogromnej tej wystawy portretów, widzimy fantastyczny jeden: „Baby starej, ale czerstwej i wysokiej, często pół pijanej, pół waryatki. Szeroko rozpuściwszy lachmany idzie z podniesioną głową przez rynek w Borunach, czarnym wywijając ozogiem i chrapowatym głosem wyśpiewując jakąś nienabożną piosenkę. Ucieka dziatwa z drogi, krzyczęc czarownica! *Megmerillis!*” To żebraczka Bańdocina. Za jej namową wieziony do

Borun, jako do cudownego miejsca, chory synek Onufrego, umiera w podróży! Siedząca obok woznicy Bańdocina, z rozczochranemi włosami wyciągająca ramiona, by naglić konie do biegu, staje podobna „do śmierci, która, naładowawszy cały wóz swych ofiar, prze ich gwałtownie na mogiły“.

VII.

Przebiegając galerję obrazów i portretów Chodźki, zaledwie zdołaliśmy zwrócić uwagę na najwybitniejsze lub najznakomitsze, lecz i te niedostateczne wskazówki pozwalają utworzyć chaotyczny wprawdzie, lecz wyraźny obraz społeczeństwa naszego z onej doby. W ciżbie magnatów i rycerzy, księży i zakonników, palestrantów i rolników, w mnogości narodowych typów, przesuwa się stan szlachecki, gwarny i barwny, taki, jakim był niewątpliwie, z tej jednej, dla pióra Chodźki najpochwytniej-szy strony przedstawiony. W obrazie każdy, od Radziwiłłów do Zbrożków szaraczków, odpowiednie sobie zajmuje stanowisko i tylko wśród narodowych typów brak jednego, typu chłopca. Dlaczego Chodźko, który wiek cały przeżył na wsi, tak umiejętnie malował sielskie krajobrazy, tak wiernie na papier prznosił każdy rys wybitny, a oko miał tak trafne,

tak czule na wszelką typową oryginalność, dla czego nigdzie, ani razu, ani chociażby szkicowo nie skreślił wizerunku kmiecia. Dlaczego? Czy dlatego, że aby odkryć w typie tym oryginalne, o indywidualności świadczące rysy trzeba umieć patrzeć tak głęboko, jak głęboko Chodźko nie umiał patrzeć? Czy dlatego raczej, że sukmana szara, na tle zadymionej chaty, w otoczeniu szarych do nieskończoności sukman, nie pociągała pióra kolorysty? Bardzo być może, że to jest przyczyną zagadkowego na pierwszy rzut oka opuszczenia, gdyż Chodźko *myślał* o włościanach, w swych nieosobliwych filozoficzno-społecznych poglądach, pod których wpływem pisał niedołąźnie, jak to zwykle czynił, gdy wpadał w ton refleksyjny. Pozostawił całe ekliwe, różowo sielankowe dysertacje o „kmiotkach“ poczciwych, kochanych, niby rodzone dzieci przez panów i wzajem ich kochających. Są tam sumaryczne opisy *festów*, z wozami ciągnionymi przez parę koników kudłatych, do niedźwiadków podobnych, utuczonych; z wozami napełnionymi lnem włóknistym jak jedwab i pucatami „na pszennym pirogu“, wyrosłymi dzieciakami. Ale nie ma nigdzie chłopca lub wiejskiego pacholęcia żywcem, jak to Chodźko umiał, pochwyconego. Opuszczenie to zdradzieckie światło rzuca nietylko już na naturę talentu autora, lecz na społeczny obraz, który przed okiem bacznego widza roztoczył. Gmach narodowy, na którego szczytach palą się dyamenty, cały zaś misternie ułożony z karmazynów i słuckich pasów,

z „Elżutek“, „Harasimów“, *volumina legum*, zasadniczej równości, nie stanów, lecz członków jednego uprzywilejowanego stanu—gmach, któremu nie brak przepysznych, monumentalnych linii, pozostaje zawieszony w powietrzu. Brak mu podstaw. Niech się zachwieją, niech pękają pod lada naciskiem, a gmach runie, i z karmazynów, słuckich pasów, z *volumina legum* pozostaną strzępki same, a „Elżutki i Harasimy“ żalonym szczękiem długo napełniać będą powietrze... Narodowemu kołu, z tyśiącem barw, połysków, świateł, które, popychane piórem Chodźki, migotliwie toczy się przed czytelnikiem, brakuje... osi... leci ono... stacza się w przepaść!...

I nigdzie, ani jednym słówkiem, ten, tak często dzięki zaletom talentu swego, tak wymownie i szczerze, naiwnie niemal zdradzający się pisarz, nie zdradził się z tem, aby braku podwalin w gmachu, a osi w kole dostrzegł. Są to spody, których istnienia ani się domyśla a które, bądź co bądź, uwydatniła realistyczna plastyka jego konkretnego talentu, kopiując wiernie, a opuszczając to tylko... co opuszczeniem było. To też tam właśnie gdzie autor najświetniejsze gromadzi barwy, czytelnik dostrzeżę skazy i rozpadliny! Bo jeśli Chodźko cełuje w malowaniu portretów, to z większym jeszcze artyzmem umie grupować pochwycone typy, dobierając dla akcyi chwilę odpowiednią. Największą ozdobą utworów jego, najszerszym polem popisu dla zalet pióra, najstosowniejsem ujściem dla odręb-

ności talentu, są zbiorowe sceny, w których obok migotliwych barw i światła panuje niezrównany, jedyny może w opisach, do tej potęgi doprowadzony, ruch i gwar. Żadna z działających postaci, a bywa ich czasem po kilkadziesiąt i po kilkaset natłoczonych w ciasnych stosunkowo ramach, ani na jedno mgnienie oka nie pozostaje bezczynną. — Komparsów Chodźko nie zna! Niech wprowadzi konia, psa, lisa, zająca a i tych w ruch, niby żywych wprawi. Patrzmy.

„Raz w późnej jesieni — opowiada Staroście porucznik Stelnicki — spadł śnieżek i wyborna nadarzyła się porosza. Wyjeżdżam tedy z półtora smyczem strzemiennych chartów, i z kilku pocztowymi na lisy; a miałem deresza, z którego bywało wilków harapuję... Ale to druga materya. Czwałujemy więc po polach, tropiąc na upatrzonogo i podbliżamy się do granicy... Patrzę, aż z tamtej strony jedzie na czarnej szkapie, z chartami i kilkunaśtu swojemi Ataman jakiś, upatrując także zwierza... Ciągniemy więc obok, patrząc na siebie z ukosa... on zdaleka nahajem kiwa... a ja jemu figą trzęsę: „*Nie ważmiesz Lachu kota! nie ważmiesz.*“ A ja jemu: *Hola! Hola! Szeszku legawego pola!* i palim obadwa z harapów. W tem wymknął lis... i śmiga kitą po samej granicy jakby demarkacją prowadził. Weźha! z obu stron... charty się złączyły i kopią za nim, my za niemi. Deresz mój utulił uszy, rozciągnął się jak sarna, puścił się jak wichur w zawieje, aż mi w uszach zaszumiło. Przytu-

liłem się mu do szyi i myślę djabła zjesz Atamanie, nim ty doskoczysz na swojej szkapie lis będzie mój. Ale ta chuda szkapo jego, to był szatan nie koń! Spojrzę, aż on leci obok, jak żmija ogon odsadził na wiatr, uszy naprzód jak dwie strzały, pianą jak śniegiem sieje a grzywą śnieg po ziemi zamiata. Kozak na nim schylony do łęku, już mnie przesadza! Dereszu, moje serce! — krzyknąłem, ścisnąc go kolanami, trzymaj się! bo padniem na honorze... lecim... Tuż, tuż charty za zwierzem — lis, het! w bok, na jego stronę a mój Doskocz łap go za kark, i trzęsie jak kuśmierz irchą...”

Co za klasyczna malowniczość opisu! Nie dziw, że opowiadania porucznika nietylko starosta, powstawszy z miejsca słuchał z najwyższym zajęciem, lecz i dwaj starzy hajducy, „wyciągnęli szyje i wytrzeszczyli oczy.”

Z jakąż znów majestatyecznością, po wysłuchaniu w katedrze Wileńskiej „*Te Deum Laudamus*, i złożeniu przysięgi, kroczył przez plac, przed oczami licznie zebranego tłumu „Najjaśniejszy Trybunał.” A „Reduta” w domu Müllera na Niemieckiej ulicy! Tasiak w bogatym stroju pędzący po ciemnym zaułku za złodziejem, który mu turban kosztowny zerwał z głowy. Ulicznicy uciekający przed nimi z okrzykami: „Dyabeł Wenecki! dyabeł wenecki!” A uczyły w Olyce, Nieświeżu i Szemetowszczyźnie, chociaż autor zapewnia gdzieś, że nie jest „dziejopisem bankietów“ (t. I. str. 143) jest nim na sposób malarski Weroneńczyka. Trzeba to czytać

i odczytywać aby się oswoić z tym ruchem, z tym gwarem, z tą zwadą. Nigdzie jednak nie bywa tak gwarno, tak hulaszco jak w Usaszu („Pamiętniki kwestarza”). Na rynku, przez który orszak coraz liczniejszy, z Wojewodą na czele, przechadza się, oddając wizyty i zamieniając „*exwisceracye*“ wzajemne, kipi życie. Na polu za miastem pan Piekarski rozłożył się z milicją. Pan Rudomina wwozi sto szabel i swoja dzielną kapelę, pan Sielicki ma swoich muzykantów, więc po szynkach, po izbach, z których żydów wyrzucono, grzmi muzyka, szlachta „wrzeszczy, śpiewa, pije,” miód czerpią z wiader, stoły uginają się pod pieczeniami sarniami i łosiem. Wesołość, gwar, dochodzą do szczytu na wieczorynce u Rudominy.

Dotąd dobrze. W tem „gdy razem tak wszystko i śpiewanie i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu! ha! wrzały jak w garnku, a dobrze już w noc było, dwa wystrzały gruchnęły pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach jakbyś grochem sypał gran-kulki. Przelęknione dziewczki wrzasły okrutnie. Jezus! Marya!.. Wnet ktoś zawołał łapać *excessantów*, a zatem hurmem wszysey wypadli do ogrodu. Ale cóż? noc ciemna choć oko wykol i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne więc po śliskiej ziemi; każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędę i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkrwawił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszysey krzyczeli łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiąż! nie wiedząc kogo? Chwytał

jeden drugiego, a poznawszy się puszczał i znowu obadwa polowali.” Zamieszanie i zgiełk — istna wieża babilońska.

Lecz ta „wieża babilońska,” wyskoki *excessantów*, z rynku, z prywatnego domu przerzucają się do kościoła, z którego „z należytą adoracją wyniesiono wprawdzie Sanctissimum,” lecz który zamieniono w przybytek niemniej poważny, w miejsce kędy ludzie wolni i z wolności dumni, obradować mają *pro publico bono*. Czemuż za samem zbliżeniem się do miejsca tak dostojnego, słyhać wrzawę i zwadę? Ten tego nie puszcza, ów drugiemu wymyśla, strach „aby nie okrwawiono domu bożego,” a tłoczą się ludzie różnych partyi, śród „hałasu i kweresu.” Próżno wojewoda reflektuje „Ojcowie święci! czyście poszaleli!” Z narady *pro publico bono*, zrobiła się burda, odpasano szable, już i *korupcyę* ktoś zarzucił *ex promptu*, chcącemu rzeczy łagodzić Podwińskiemu, i nie wiadomo jakby to się skończyła *reasumpcyja* sejmiku, bo i oracyi dla wojewody Jezuici w Płocku nie byli wykończyli, gdyby nie zjawiła się dywersya, w osobie pana Sulistrowskiego, przywożącego list „od koronata.”

„Z owego krzykliwego zgiełku nastąpiło milczenie, jakby anioł „przeleciał.” Tym aniołem był demon ciekawości, który na chwilę oświadczył ruchliwość i wrażliwość, dającą się powodować, lada słówkiem unosić, zgrają, gdyż za ledwie wojewoda skończył czytanie listu „koronata” tu i owdzie, z ławek, dało się słyszeć sarknięcie. Już się na nową zano-

silo burzę, którą zażegnał dyplomata i dworak, z cicha oznajmując malkontentom, że im przywozi dowody łaski monarszej. Czy nie skuteczniej podzielało uczczenie Imép. Świebody na obiad, na krupnik i pieczenie...

Gdzieindziej... okrwawiono, nie dom Boży wprawdzie, ale izbę, w której zasiadają przedstawiciele tego co ludzkość uważa za najdostojniejszy swój dobytek, za koronę postępu, to, na zdobycie i ozdobę czego pracują nauki i obyczaje, jednym słowem izbę dostojną, w której zasiadają sędziowie, „*Najjaśniejszy trybunał*,” o którym Chodźko pisze gdzieindziej, że był w wielkim w narodzie poszanowaniu. Piekielna scena! Piekielna nawet na owe „kaducznie hajdamackie czasy.” Pijany Wołodkowiec, to szatan nie człowiek, lata „w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, błotach, cementarzach i wyzywa upiorów i dyabłów na pojedynki; tylko, że żaden nigdy nie stanął na placu.” Czyż żaden? czyż nigdy? Czyż nie najgorszym z dyabłów, duchem spadłym z nieba swobody w otchłań prywaty i odmet swawoli, był ten duch co go wiódł w Mińsku w czasie ruskiej kadencyi, na ratusz, gdzie zasiadł trybunał pod łaską starosty Morykoniego. Popychała go *Prywata*. Chciał „Włocha nauczyć kim jest i kogo ma za sobą.” Liczył na potężne Radziwiłłów plecy. Straszny obraz, po mistrzowsku przez Chodźkę odmalowany! „Zgiełk szalony, potem szczeł szabli, drzwi otworzono i krzyknięto: warta! warta!.. Przypadł Krajewski rotmistrz i komendant żołnierzy try-

bunalskich a za nim kilkunastu *gemejnow*. Kryminał krzyczano ze wszech stron... przyparty do ściany szarpał się mężczyzna trzydziestoletni zaledwie, „silny i *determinativus*.” Krew ciekła z ręki pana Dłuskiego deputata ludzkiego i kawałek krzyża, odrąbany leżał na stole... Szwejkowski, sławny osiłek, wyrwał wreszcie szablę z rąk broniącego się wściekle, a „kiedy go już tak wzięli obławą i prowadzili, to jest nieśli gwałtem, to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał a ze złości pieniał się i ryczał, od czei i wiary wexując cały trybunał, a szatując djablami, że aż uszy więdły...”

Obraz pełen grozy, głębszej niż ta zewnętrzna, w którą ją odziało pióro Chodźki. A jednak pióro to jest tak wierne, że nawet z „potępieńca“ nie zdołało zrobić istoty obudzającej bezwzględny wstręt czytelnika. Miałoby to zapewne miejsce, gdyby Wołodkowiec był postulatem, manekinem, symbolem ducha swawoli i samowoli, ale że to człowiek żywy, więc istota złożona, nie mogąca być absolutnie złą, wówczas nawet, gdy w ostateczne wpada obłądy, budzi litość obok zgrozy. Wiemy, że na wytworzenie obłądy tego, na „potępienie opętańca“, złożyło się przyczyn wiele, a choć o przyczynach tych Chodźko nie pomyślał może — że malował wiernie, z natury, bez pominięcia żadnego charakterystycznego szczegółu, z ciemnego, daleko, bardzo daleko cofniętego tła wyłania się, grozą nas napelniając, postać miotającego się na pierwszym planie szaleńca. I nietylko

śludzy jego i towarzysze, nietylko druż butny i wier-
ny Radziwiłł, nietylko żołnierze z obowiązku speł-
niający na winnym wyrok sądowy, ale i potomny
czytelnik święci łzę żalu, nędznie ginącemu czło-
wiekowi, zmarnowanej sumie siły i energii...

Żal wszelako nie zaślepia czytelnika do tego
stopnia, aby ze zdziwieniem nie słuchał „lamentu“,
w wiele lat później śpiewanego przez szlachciancez-
ki okoliczne na Litwie:

„Obacz ojczyzno, jaka twoja strata!“ W la-
mencie tym Excessant oplakany jako „Abel“ nie-
winny, podpora i nadzieja „senatorskiego narodu“,
ofiara „zazdrości cudzoziemca“. „Zjadł go srogi
tyran Morykoni“. Gminna legenda potępiała sumien-
ność i rygor, acz srogi, sędzięgo, męczeńską koro-
nę splótła dla okrwawionej, kulą roztrzaskanej skro-
ni warchoła. Czy stało się to z głęboko w naturze
ludzkiej tkwiących motywów, które czasem świa-
dome siebie, częściej, w masach, przejawiające się
jako instykt nieprzeparty, protestują przeciw wszel-
kim krwawym odwrotom, bogdaj stokroć winnego,
z każdego okrwawieńca robią męczennika? Czy
raczej do tych ogólnych, a o podniosłości natury
ludzkiej świadczących motywów przyłączyły się
inne, specjalne, „narodowo - szlacheckie?“ Niemal
z pewnością, w danym razie, twierdzić można, że te
ostatnie nie były obce apoteozie ofiary, krwawego
zajścia w Mińsku, w czasie ruskiej kadencji.

Jakże dziwnie, a jak charakterystycznie zara-
zem od tych obrazów zaiskrzonych odbijają te, z bo-

ku, niby skrzydła nad nimi roztaczające... pustelnie.
Okolica pusta. Niegdyś las tu był, lecz wycięty nie
odrósł, tylko po wzgórzach piaszczystych czernieją
mchy, sterczą spróchniałe pnie lub wichrowate jo-
dłowca krzaki. Okolica „mogąca służyć na zabo-
bonne *Dziadów* obrzędy“, gdyż jest i kapliczka
stara w pobliżu. Czy sądzicie wszelako, że w pu-
stelni tej resztek życia dopala jakiś starzec złama-
ny dołą i wiekiem, naturalny stróż mogił i pustko-
wi? A może zbrodzień w pokucie pograżony? Gdzie
tam! Jednego z tych pustelników i ascetów zagnał
tu zarzut „bezimienności“; drugiego złamanie ślubów
kościelnych, gwoli... uczciwemu, zresztą, sentyment-
owi. Obaj młodzi, silni, zdrowi. A działo się to
wówczas, gdy ojczyzna najbardziej potrzebowała
dzielnych ramion do pałasza i do lemiesza. Takie
to już były te „kaducznie hajdamackie“ czasy—
podszyte sentymentalizmem. Taki ten hart pozor-
ny — podszyty miękkością dziwną; ta pycha, swa-
wola, podszyte ascetyzmem. Ci pustelnicy robią
na czytelniku, wbrew intencji autora, wrażenie wła-
śnie „leniwców i wyczerpańców“, na których autor
gdzieindziej powstaje.

Jak historia Wołodkowieza, sejmiki w Usaczu,
pustelnicy, tak i innych wiele następów, w utworach
Chodźki, przygnębiające wywiera wrażenie. Burdom,
pijatykom, hulaszczosci, a obok tego praktykom
religijnym, ceremoniom kościelnym, opisywanym *in*
extensto, końca niema. Czytelnik rzeczy świadomy,
poza świetnością religijnych ceremonii dostrzega

łatwowierność demoralizująca; poza butą, rozkładowe rozmięczenie, poza winem i namiętnościami rozpalonemi horyzontami prywaty, roztwierają się ciemnymi chmurami zasnute perspektywy. Śród wiawotów, śmiechów, dykteryjek, psalmów pokutnych, słycać warczenie zbliżającej się burzy. Z pod suto zastawionych stołów, około których tłoczno, parno, huczno, zieją przepaście oteblani. Wrażenie to tem silniejsze, że nie, w najskrupulatniej wertowaniu dzieła Chodźki nie wskazuje, aby autor podkładał z umysłu tło ponure pod jaskrawe barwy, któremi szafuje hojnie, których używa *con amore*. Nie zagłębiając się w ciemne spody, zapatrzył się w szlacheckość migotliwie barwną, o śmiałych, poplątanych dziwacznie, wybitnych liniach indywidualizmu, umiłował ją, w nią wcielił całą „swojskość“ nie dostrzegł co spodem nurtuje. Mylił się, lecz szczerzy był. Czyż on jeden zresztą się mylił?

Ze stanowiska trzeźwo i racjonalnie zrozumianego interesu narodowego słusznie powstajemy na ówczesne zaślepienie... liczyć się z niem jednak musi każdy i zaprzeczyć trudno, że zaślepienie samo wydało niejedno areydzioło. Niedarmo plastyką przesiąknięty gieniusz starożytnych obdarzył Amora opaską na oczach. Gorąca i dziecięca miłość coś zawsze zaślepi, coś—choćby bliskość olbrzymiego, a ukochanego przedmiotu, który garnie do serca i ramion, wówczas nawet, gdy go objąć w całej jego rozciągniętości nie potrafi.

Tak się rzeeczy miały z Chodźką. Pogodny lecz

plytki, pogodnie zapatrywał się na zjawiska i tylko wówczas malować umiał, gdy nakładał różowe okulary i brał rozbrat z bruźdzącą mu zawsze refleksją i filozofią... Dla niego, między panami a poddanymi panowały sentymentalno-patryarchalne stosunki (II, str. 361, 194, 387). Przepaść, dzielącą stany, zapelniała miłość i życzliwość wzajemna“ (II, 390). Dla niego „szlachectwo *provenit* od szlachetności i jak *dyftong* jedno z drugim związane“ (t. III, str. 115). „Klejnotem, pasowaniem się z władzą królewską, nieuległością prawom magnatów“ (t. III, str. 95). Nie wierzył w przedajność sędziów i szlachty. No, tak, niby „zdania ich determinują związki szerokie, krescetywy, sejmikowe stosunki... ale, nigdy *złoto*“ — dodaje z naiwnym przyciskiem (t. II, str. 390). Nie wierzył, abyśmy „żli mogli być z natury“, jak inni, pospolici ludzie. Owszem, utrzymuje, „że zło było u nas wyjątkiem, wyjątki były rzadkie, całość zawsze poczciwa“, (t. II, str. 387). Zło, to „naleciałość zachodu“. Wierzył natomiast w owe „*fraternitas*, jak siatka w węzłki wiązana, szeroko, szeroko rozciągnięte po kraju“ (II, 402), i kto wie czy nie wierzył, wraz ze zdziecinniałym starcem, że „gdy dygnitarstwo mościjananie przepadło to i... to i... szlachectwo idzie dziś ni w pięć ni w dziewięć... A za szlachectwem? To mu już i wszystko przepada. Wierzył, i gdyby nie wierzył, zmilkłby może „jak kamień“ i nie mielibyśmy tej galerii obrazów, pełnej szczęku, połysku stali, brylantowych spinek, złotolitych pasów, karmazynowych wylotów, sajet,

łbów podgolonych, z których aż się dymi, butów palonych, ostróg i kopyt końskich, z pod których iskry się sypią, tych wąsalów, osilków, rębaczy o jasnych jak u dziewię oczach, o tkliwych i naiwnych jak u niemowląt uśmiechach, zgrai spelzłej z widowni świata i życia, a której, malując ją ze ślepią miłością, tak wierny zostawił obraz. Bierzmy go takim, jakim jest — szlachcicem z krwi i kości, demokratą o tyle, o ile idzie o równość „szlacheckich przywilejów“. Zresztą, pędzla nie maczał w sadzy, zółci nie rozcierał na palecie, z której ogień skrzesaly „Elżutki i Harasima“, błyskawiczne zwroty, po której pełną gamą dzwoniły hulaszce i rubaszne śmiechy, na którą się wylewały spienione puhary, na której znalazło się wszystko, czego potrzeba dla uczynienia obrazu wyraźnym, głębokim, przezroczyстым. Znalazło się zaś dzięki właściwości talentu. Zapatrując się na zjawiska jednostronnie, powierzchownie, w głąb ich nie wnikając, nie pominął ani jednego charakterystycznego rysu, ani jednego cienia, przez co obrazy nabrały przezroczystości i głębokości. Realizm, z jakim były traktowane, użyczył im autentyczności. Nikt Chodźki o fałszowanie w jakichbądź, chociażby nieumyślnych celach, nie posądzi, nikt w utworach jego nie znajdzie apokryfów. Często w ciasnych ramach otwierają się przed czytelnikiem perspektywy o jakich pisarzowi ani się śniło, filozoficzne głębokości, na jakie umysł jego zdobyć się nie mógł, bo naprzykład czyż Chodźko, mógł choć na chwilę stanąć na

wysokości krytycznej rabina Salomona, mówiącego do gwardyana:

„Wierzycie twardo i szczerze, co wasze, a nie wierzycie twardo i szczerze, co nasze; ale są rzeczy ni wasze ni nasze, które pokażą się ludziom, zadziwią, przelekną niekiedy, i zginą potem nazawsze— czy na długo?“

Zginą, znów wróca, wyraźniejsze, bardziej skończone, w imię niewzruszonych prawideł przyrody lub nauki, zostającej w zgodzie z przyrodą, rozświeca te rzeczy, które „są pod słońcem“, chociaż filozofom dotąd o nich się nie śniło. Chodźko nie rozumiał słów sceptyka, lecz je zanotował wiernie.— Ten to też realizm, ta wierność artystyczna, ta plastyka w pochwyceniu i uwydatnieniu cech sprawiają złudzenie, o którym mówiliśmy porównyując „Obrazy litewskie“ do ściany, zawieszonej mnogością obrazków rodzajowych, z których każdy jest zwartą w ramach, skończoną całością, a które wszystkie dopełniają się i składają na jeden wielki obraz, do którego wyświecenia przyczyniają się same opuszczenia, braki, niedostatki. Jakiego też trzeba żywotnego talentu, jakiego zasobu artystycznych środków, aby pomimowiednie podobne osiągnąć rezultaty.

Te to konkretne, niezaprzeczone zalety talentu i pióra Chodźki, zapewniły mu, pomimo usterek i niedoborów licznych, wybitne miejsce w piśmiennictwie naszym. Udało mu się pochwycić to, co jest niezmienną, ogólnie ludzką prawdą i wyłączną na-

rodową cechą, to, przez co artysta i pisarz wiążą się ze współczesnymi i potomnymi, tajemniczym, a gdy się raz na dobre zadzierzgnie, to już nierozwalnym węzłem popularności.

Bo i czemuż jest popularność jeśli nie pochwyceniem, nie tak łatwo, jak się zdawać może, dających się ująć nici, z których się plączą węzły pomiędzy artystą i pisarzem, widzem i czytelnikiem? Węzły te, a z niemi i popularność dwojakiego bywają rodzaju. Na zadzierzgnięcie ich składa się względów wiele. Część tych względów ubiega z dnia na dzień. To, co zajmowało wczoraj—przestaje zajmować dzisiaj, to, co dziś roznamiętnia—zastanie nas jutro zobojętniałych. Ztąd to i tylu pisarzy, obecnie zapomnianych, którzy wśród społecznych niemałą cieszyli się wziętością. Ztąd tyle utworów pióra, o których mówimy, że musiały być na czasie, choć je dziś już zaledwie znają krytycy lub literaci z zawodu. Ów czas przeszły, w którym były poszukiwane, rozrywane, odnosi się, niestety, częstokroć i do chwil niedawno ubiegłych.

Dla zdobycia popularności bieżącej chwili wystarczają nieraz filozoficzne poglądy i społeczne zasady, których pisarz staje się zręcznym lub inteligentnym rzecznikiem. Talent cofa się tu na plan drugi, zostaje w roli posiłkującej, na plan pierwszy wysuwa się inteligencja, umysł jasny lub śmiały, wprawny w kojarzeniu pojęć lub wysnuwaniu wniosków, wiążący się z kwestjami żywotnymi, pragnący rozwiązać palące pytania swego czasu. My-

śliciel bierze górę nad artystą. Bywają nawet czasy tak bardzo, od tych palących zagadnień, wrzące, że się sztuka zaprzęga w ich usługi. Dzieła z tego zespolecia powstałe nie zawsze bywają pomnikowymi dziełami sztuki, lecz zawsze stanowią cenny materiał do historii przebiegu idei, do historii umysłowości i cywilizacji, i zawsze niemal wyrabiają twórcom swym wziętość i mir, lub, co najmniej, rozgłos u współczesnych.

Po za tą ponętą popularnością jest druga, na którą nieraz długo czekać trzeba i która nie daje się zdobyć bez konkretnych, zmianom, pod naciskiem tych lub owych prądów, niepodlegających zalet talentu. Jak w pierwszym razie talent, tak w tym filozoficzne poglądy autora cofają się na plan drugi. Tam górą postulaty—tu typy. Popularność ta dostaje się częstokroć pisarzom, którzy nie chcieli lub i zgoła nie umieli zespolic się z bieżącymi prądami swego czasu, pozostali obcy przypliwom i odpływom społecznego ruchu, a jednak do sumy ogólnych rezultatów, do skarbnicy sztuki i literatury, dorzucili klejnot, którego blaski nie gasną z dnia na dzień, na którego konkretną wartość lata i lat dziesiątki ujemnego nie wywierają wpływu. Utwory podobne, nawet gdy są niedoskonałe, gdy są miniaturą, nawet gdy przedstawiają naturę martwą, noszą zawsze na sobie piętno talentu oryginalnego, stanowią cenny materiał do historii samejże epoki i zostają chwałą sztuki.

To pewno, że społeczeństwo ma niejaki po-

dobieństwo do zalotnej kobiety. Nie go tak żywo i stale nie zajmuje jak własnego oblicza odbicie, i żadnym darem nie można mu tak dogodzić jak zwierciadłem. O komentarze, bogdaj najbieglejsze, nie chodzi mu wcale. Zostawia to szczupłej garstce specjalistów: historyzozofów czy krytyków, których zdania, chociażby najwymowniejsze, nie wsiąkają nigdy w szersze koła czytającej publiczności. Tej idzie przedewszystkiem o wierność rysunku i kolorytu. Znalazła takowe, więc czyta z niestrudżonem zajęciem dziś, czytać będzie jutro i czytać pojutrze „Pamiętniki kwestarza”, „Dworki na Antokolu”, „Boruny”, „Domek mego Dziadka”, „Pannę Respektową”, „Żegotę z Milanowa Milanowskiego”, „Brzeżgi Wili”. Czyta, śmieje się, czasem wpada w zadumę, po latach wraca do rzuconej książki, znajduje w niej ten sam urok co przed laty, nie w niej nie zbladło, nie spłowiało... Ta sama plastyka, werwa, humor, bogactwo typów, styl przytem potoczysty, graniczący miejscami z zaniedbaniem, ale oryginalny jak całość dzieła. Pisarz z kresów popelnia wprawdzie pewne rusycyzmy, nadużywa słowa „jakby” każe, tak wytwornej damie jak starościna Kapinowska cieszyć się, że widzi Sulistrowskiego „polepszzonego na zdrowiu” i tem podobnie, lecz usterki te, rzadkie zresztą, okupuje nie jednym wybornem, dosadnem wyrażeniem, które szczęśliwie wprowadzone z potocznej mowy do książki, wzbogaciło piśmiennictwo nasze.

VIII.

„Oberwijmy mieniące się, piękne skrzydła motylowi, a pozostanie brzydka, pełzająca poczwarka”—czytałam gdzieś niedawno. Krytyce pozostaje niewdzięczne zadanie obrywania skrzydeł motylom, które zatopione w popularności, jak w skamieniały bursztyn „na wieki całą zachowują postać”. Gdy utworom Chodźki urwiemy barwne, mieniące się skrzydła, z którymi w lot je puścił, pozostanie szara, pozioma, pospolita poczwarka, ale za to poczwarka dopiero wyjaśni nam, dlaczego, pisarz obdarzony tyłu i tak świetnymi zaletami pióra, tak oryginalnym, wybitnym talentem, chociaż zaletami tegoż talentu zdobył sobie trwałą popularność, nie zajął pierwszorzędnego miejsca w piśmiennictwie narodowem. Dlaczego, mając zalet tyle, tyle w naturze talentu zasobu ku utworzeniu narodowej epepei, wytworzył tylko mnogość wielką rodzajo-

wych obrazków, mających się do *summum arcantum* narodowego, w stosunku krynie drobnych, do bystrego potoku? Dlaczego zasklepił się w ciasnym kole, on, który posiadał tak wprawne oko i na palcie swej miał tyle przeróżnych barw i odcieni? Nie talentu mu zabrakło, o nie! Zabrakło tego, bez czego talent nie wzbija się do geniuszu—zabrakło... wielkiego umysłu. Jeśli zaś największy umysł nie posilkowany wrodzonym talentem nie utworzy najdrobniejszego chociażby dzieła sztuki, to talent, nawet potężny, nie posilkowany wielkim i oświeconym umysłem, nie zbuduje wielkiego dzieła, rozproszy się na brylantowe pyłki, lecz ani wystrzeli gromem, ani błysnie słońcem. Owszem, same zalety i właściwości talentu słabną i koszlawieją nie podtrzymywane, jeśli już nie wielkim, to przynajmniej odpowiednim sobie umysłem i zastanawiając się nad tem, jak zalety i właściwości talentu Chodźki słabą i niedołączną z tej strony miały podpore, podziwiać wypada, że błysnęły tak jasno w .ych jego utworach, na których bezpośredni udział umysłu pisarza nie odbił się wyraźnie.

Niema pisarza tak zamkniętego w sobie, któryby słówkiem jakimś, zwrotem, nie zdradzał myśli i uczuć ukrywanych, a styl, bogdaj najbardziej prawidłowy i to co nazywamy pisarskim temperamentem popełnia, pomimo woli i wiedzy pisarza, tysiące niedyskrecyi. Lecz w utworach Chodźki ani słówek i zwrotów ważyć, ani stylu wertować, ani temperamentu podpatrywać nie potrzebujemy. Nie

tu nie jest niejasnem lub dwouznacznem i jak dla wyświecenia właściwości talentu, tak dla wykrycia natury i skali umysłu pisarza, wpływów, którym podlegał, niemal każdej okoliczności jego życia krytyka znajduje materiał gotowy, obfity, z pierwszej ręki, w mimowolnej autobiografii. Cokolwiek bądź Chodźko napisał, napisał wedle myśli swej i serca, gdyż „ktokolwiek dziś pióro bierze w rękę na publiczne ogłaszanie myśli swych, inaczej pisać nie może, ani powinien” — jak mówił Korsak, przyjaciel jego młodości (Tom III, str. 490).

Najmniej, a przynajmniej najmniej bezpośrednich wskazówek w tym względzie, dostarczają te utwory jego pióra, które najwymowniejszych, najobfitszych wskazówek dostarczają dla wyjaśnienia natury i skali jego talentu, jako to: „Pamiętniki kwestarza” i „Dwórki na Antokolu”. Za to w słabszych i zupełnie chybionych pod względem artystycznym utworach, w takich naprzykład nudnych i niedołącznych *colloquium* jak te, które brata Rafała Karęę tak daleko odsunęły od nieśmiertelnego kwestarza Michała Ławrynowicza, Chodźko występuje w całym rynsztunku filozoficznych, społecznych, ba! teologicznych poglądów, a skoro się tak uzbraja, to już zawsze chybia, wpada w komunał, czezą deklamacyę, w gadulstwo ciężkie a puste i nietylko w filozoficzne, lecz i w artystyczne rozdźwięki. Staje przed czytelnikiem jako rzecznik — i to nieudolny — reakcyi, która na początku bieżącego stulecia opanowała umysły, każąc im zawra-

cać z dróg wytkniętych przez piśmiennictwo XVIII wieku i przez rewolucję francuską. Społeczeństwo było wyczerpane — rewolucya popychała je zbyt szybko, wśród zbyt licznych i bolesnych upadków, po pochyłości, którą postęp każe zdobywać oględnie piędź po piędzi, każdy pret zdobytego mozolnie gruntu, znacząc swą uprawą. Militaryny despotyzm Napoleona dokonał reszty. U nas, do ogólnych tych wpływów przyłączyły się inne, narodowe. Zarówno temperament narodowy jak dziejowe wpływy czyniły nas nieprzychylnymi rewolucyi socyalnej i filozoficznym pobudkom, którym ją przypisywano.

„Mędrzec — pisze Chodźko (t. II, str. 435) — prowadzący ludzkość przez krwawe próby do celów przez siebie obranych, nie jest naszą figurą, jest on ideologiem zachodnich krajów”. Nie nad to prawdziwszego! Przytem na Litwie i Rusi reakcyę podsycaly wpływy miejscowe. Zewsząd wygnani Jezuici, niby za ostatnim szańcem, sparli się na kresach, w Połocku. Chodźko ich wychowawcem nie był, lecz broni ich choć oględnie w osobie księdza Daniela, kapelana Solohubów i innych przyjaciół dziadka swego. Przyznaje, że powodzenia nie mieli „w klasie średniej obywatelskiej”, ale przypisuje to intrygom innych, o wziętość z nimi współubiegających się zakonów. Nie wierzy, aby zakon, który wydał Skargę i Sarbiewskiego, z którego „wyżsi oświeceniem a pobożni ludzie wybierali sobie stróżów sumienia, składał się z samych chytrych intrygantów” (t. II, str. 273). Wreszcie ucieka do ostatecz-

nego swego argumentu, dosiada ulubionego a często gęsto chromiącego swego konika; „Jezuici polscy — mówi — pokutowali za swych braci zagranicznych”.

Mamy go! argument dający miarę jego filozoficznych wywodów i dociekań.

Chodźko, nie obskurant, w dosłownem tego słowa znaczeniu tylko nie posiada umysłu, któryby się wzbil nad poziom oblewających go prądów. — Talent uchyla się od nich, wystrzela po nad nie, szuka realnego gruntu i gdy takowy znajduje wykwita bujnie, lecz umysł ulega majaczeniom reakcyi filozoficznej. Chodźko z całą trzeźwością poglądów artystycznych popada we wszystkie przesady, we wszystkie rojenia ludzi wstecznych i ciemnych. Jest to epoka cudów, jubileuszów, przecuć, objawień, nadprzyrodzonych zjawisk, styczności z duchami, epoka przepowiedni, zdwojonej żarliwości praktyk religijnych, wiary w upiory i w te „gminne zabobony“, których się Chodźko nasłuchiwał w domku swego dziadka. Dziadkowi jego („Śmierć mojego dziadka“), za pośrednictwem dzwonów, które uderzyły w chwili, gdy zaczynał modlitwę o śmierć szczęśliwą. — „Bóg objawia, że umrze jutro“. Gdzie indziej (t. I, 27), szatan podsłuchuje słowa zbyt szczęśliwej matki „chwytła je w swe szpony, gniecie zajadle, druzgocze, ciska pod nogi“. Przed „filozofem” (?) „Duch opiekuńczy“, błakającym się po ruinach ojcowskiego zameczyska, a którego myśl nie unosi się „za gwiazdą objawienia“, który pozostaje

głuchy na arcy naiwne, chociaż w intencji autora, niezbitcie przekonywające — nawoływania plebana, zjawia się duch wywołany słowy zaklęcia, których się ten filozof, ten niedowiarek, gdzieś w Niemczech nauczył. Takich nadprzyrodzonych zjawisk, w realizmie artystycznym skąpanych, w utworach Chodźki pełno. Obok nich, równie opatrnościowo działa wzruszenia chwila jedna. Oto w poranek letni, mknąc czólnem z biegiem Wilii (t. I, str. 158), młodzian, „wychowaniec wyobrażeń XVIII wieku”, — nawraca się odrazu słysząc powtórzoną przez towarzyszy modlitwę, która była ulubioną jego matki modlitwą. Rojenia takie i tym podobne każą pisarzowi wpadać w rozdzwięki nietylko filozoficzne, lecz i artystyczne. Ów filozof, naprzykład, ów niedowiarek rzekomy, wywołujący duchy („Duch opiekuńczy”) zniechęcony ostatecznie do świata i ludzi, zgorzkniały, nie ma o co pytać prorokującego mu ducha jeno o to, jak długo żyć będzie? *Jubileusz* dostarcza wprawdzie autorowi pyszną scenę pojednania ogólnego w kościele, pod wpływem słów wymownych miłości i przebaczenia, spadłych z kazalnicy, lecz tuż zaraz melodramatyczność z podobnych sytuacji i wyobrażeń zrodzona, a która się w znacznej mierze odbiła nawet na tak realistycznym jak Chodźki talencie, psuje artystycznie scenę gdy obłąkana córka, wracająca po latach wielu w rodzinne progi, w kościele kona u stóp ojca, którego przybyła przeblagać.

Gdzie indziej talent autora, wobec przekonai,

które chce głosić, staje opornie. „Kościół i szkoła — pisze — są to dwa, różnych zupełnie i przeciwnych sobie uczuć i pamiątek studenckich składy, jak niebo do ziemi, jak raj do piekła, a właściwiej do czyśca, jak pogoda do sloty — tak się ma jedno do drugiego“ (Boruny).

Cóż znowu! Jakim sposobem ma być tak mroczną owa szkoła, dopiero opisana nam z taką plastyczną werwą, z takim wątpienia co do szczerości opisu nie pozostawiającym zapalem? Ci wyborni malecy, rumiani, pyzaci, płatający psoty samemu księdzu prefektowi, czyż podobni są do dręczonych w piekle, a chociażby do pokutę czyniących w czyścu duszyczek? Autor przypomniał sobie, że mu wypadła wygłosić apologią kościoła i napisał filipikę przeciw szkole, a że to uczynił *ex abrupto*, talent go zdrądził i już u końca strony znów „szkoła“ w pamiętnym dla studentów dniu 29 czerwca, zalewa kościelną nawę.

Tam jednak gdzie talent nie miał odpowiedniego sobie gruntu, tam słabe strony myśliciela występowały jawniej. Chodźko nietylko jest, lecz stara się pokazać jaknajgorliwszym synem kościoła. Nastroj religijny nie dowodzi niskiej lub ciasnej umysłowej skali. Bywają umysły jak dzień jasne, jak morze głębokie, jak niebiosy podniosłe, dla których religijność jest niedodzowną potrzebą. Któż naprzykład ujmie podniosłości umysłu, niezmierzonej głębokości uczucia, szerokości, rzadkości i śmiałości poglądów autorowi *Trzech psalmów*, najreligijniej-

szemu z naszych arcy-wieszczów? Nie o religijność idzie, ale o to, że u Chodźki jest ona ciasną, robi wrażenie banalnej deklamacji, dającej się unieść przyjaznym sobie prądom, spływającej tam, gdzie ogólny zbiega potok. Idzie zresztą o praktyczne przejawy religijności, o filozoficzne zasady i o społeczne poglądy autora „Obrazów Litewskich“. Dla niego „sceptycyzm płynie ze słabości rozumu ludzkiego, nie wspartego objawieniem“ (t. II, str. 441). *Monachomachia* wydaje mu się grzeszna na tem, „że nie wezas była dla Religii, a wezas dla Niedowiarstwa“. Z tego samego widać jak dalece nie przypuszcza, aby najłżejsza chociażby krytyka dotknąć mogła nietylko treści, lecz formy kościelnych instytucji. Nie odstrasza ją go retoryczno-teologiczne dyskusje, które do ekliwkości nadziei: „Drugie pamiętniki kwestarza“. Ciekawy utwór pod wielu względami, chociaż, pomimo kilku przebłysków werwy i plastyki, najzupełniej chybiony w artystycznym znaczeniu. Ciekawy, zwłaszcza jako zwierciadło, w którym odbiły się najwyraźniej filozoficzne i społeczne wyobrażenia autora, a odbiły się jasno, chociaż same mętne, chwiejne, powierzchowne i wygłaszane na zimno, wówczas nawet i wówczas zwłaszcza, gdy sadzą się na napuszoną deklamację i polyskują sztucznym zapalem, w który się zwykła przyoblekać obojętność.

„Drugie pamiętniki kwestarza“ poczęte zostały w leciech, w których autor w jednym ze swych listów do Romualda Symonowicza (w 1857 roku), sam się

uskarża, że mu różne zajęcia, a zwłaszcza już „wiek wciągający go na siedemdziesiąty krzyżyk, każdą pracę leniwszą czynią“. Niegdyś, jak to wyznaje, „ochotnie brał się do pióra i szło to jakokolwiek, dziś z nałogu coś snuje“. Trudno mu już istotnie „myśleć o obrazach“. Wyobraźnia zbladła, wiek przyćmił trafne i bystre oko, pióro straciło jedrność, starła się plastyka, pogasły ostatnie iskry werwy, rzewności, poezji. Jeśli i błysną to tak, jak te, co po popielisku przebiegną czasem na świadectwo przepalonych ogni. Czuje to autor, gdyż pisze (t. I, str. 384): „Obrazy Ławrynowicza kolorytem i prawdą same biją w oczy i same się tłómaczą. Te są i być muszą tem, czem jest i jakie było towarzystwo w czasie kwesty“ brata Rafała. Zmiany zaszły w czasie ale zwłaszcza w sumie talentu, jaki pisarz zużył na te i na tamte. Tej głównej różnicy nie dostrzegając, Chodźko upatruje ją w tem raczej, że „Ławrynowicz kwestował po fantazyach, a brat Rafał po ideach“.

Nie domyślał się zapewne jak trafne, dosadne było to orzeczenie, wzięte tylko nieco odmiennie od tego, jak je zastosował. Tak, pióro jego cudów dokonywało, było na przemian rylcem potężnym i pędzlem świetnym, dopóki trzymało się fantazyi, czyli raczej tych wszystkich konkretnych zjawisk, które się w pamięci jego i fantazyi odbijały wyraźnie, gromadziły rojnie. Teraz, przez wiek osłabione, porwało się na przechodzące miarę jego, oderwane idee. Dawniej już, skoro znużony na chwilę

odrzucał na bok paletę, z malarza zmieniał się w gawędziarza i wówczas, gdyby nie te nieprzebrane zapasy werwy... Teraz, werwa niedopisuje, gawędziarstwo przedzierzga się w gadulstwo, pogoda umysłu pokazująca mu niegdyś wszystko karmazynowo, pozłocisto, chmurzy się, więc zrzędzi: świat mu się przemienił na gorsze, ludzie także, a idee i zasady (List do Symonowicza 1845 r.) „Fantazyje“—„idee“—Majaczenia!

Wie on wprawdzie, że „idea stała nie była nigdy dzieckiem fantazyi“—i to wie, że „gdy idea ogarnie całe narody, staje się duchem czasu, a fantazyja biega od narodu do narodu i gości tylko w każdym czas niejaki, a u nas gościła najdłużej“. (t. II, str. 355). Wie to, lecz bądź, co bądź, idee wszelkie ma za obcy wytwór, za rzecz, „którą małym obyczajem przyswoiliśmy sobie“. Bądź też co bądź, żal mu narodowej fantazyi, żal „poczeiwego pańskiego animuszu“. Ba! animusz tak barwny był, tak hałaśliwy! Talent jego po tym spienionym potoku sływał tak swobodnie, lekko, kąpiąc się we właściwym sobie elemencie. Teraz wszystko zbladło, niby splókanie prądami wieku, przycichło pod niwelacyjną kielnią postępu. Postęp! Wszysey za nim gonia, wszysey go sławia, a Chodźko zbyt miękki, zbyt ostrożny, aby wręcz ogółowi przeczył! Więc i on przyklaskuje; ustępstwo co go widocznie kosztuje i kto wie czy i on, jak ksiądz kaznodzieja, („Drugie pamiętniki kwestara“) nie wzdryga się pokryjomu na to słowo, jak na syk żmii? To pewno,

że postępu, będącego w prostym przeciwieństwie z tem wszystkim, co tak ślepo ukochał, szczerze miłować nie może. Nie ufa mu. A nuż „przefarbuje i okroi naszą poczeiwą staroświecką ferezyją“? A nuż „karmazyn jej zmieni na poblądle rękawice“? Na zamianie tej, *my*—to jest stan szlachecki, możemy istotnie wyjść jak młynarz z bajki lub przysłowiowy stryjek: Postęp „zuchwały, dumny swą wiedzą jak szatan, rezonuje z religią“... Postęp dla Chodźki jest spuścizną zeszłego stulecia: „tego bezbożnego niedowiarka, starca skonałego w zgrzyzotach i obłąkaniu... który oniemił ziemię dla Boga... Bóg też z nim nie był w przygodzie“, (t. I, str. 188).—Oplakane to stulecie uczyniło „systematyczny zamach na religią objawioną!“ A wszystkiemu winni Francuzi, „poganie“ i Wolter „antychryst“. Wprawdzie, chociaż autor bardzo często występuje z sumarycznym potępieniem „antychrysta Woltera“ i wygłasza przeciw niemu siarczyste filipiki, bierze chętnie posądzić go, że o wilku wie ze słyszenia i wiadomości o nim z pierwszej nie czerpał ręki. Mniejsza z tem, *vox populi, vox dei*, rumór powszechny wszystkie ekscesy rewolucyi zwał na barki Woltera, tego dosyć Chodźce! On to, filozof z Fernay, on, i Francuzi wszystkiemu winni. Francuzi wychowali syna starosty („Pamiętniki kwestarza“), więc się i zamienił w Sodomę i Gomorę“, dom słynny przed laty z enót staropolskich. Czy w traktatach Woltera staroście nauczył się wiary w sny, czy też może czasami wiarę tę w młodego uiedowiarka

wpoili poczciwi jego, czysto polscy rezydenci, marszałek i chorąży na jawie śniący apokaliptycznie. O to autor się nie troszczy, ale pewny jest, że Francuzi na ogół, a Wolter w szczególności, winni są temu, jak i temu, że żydzi dzisiejsi nie są tem, czem dawniej byli. Dawniej „przywykali do rodzinnego siedliska i do panów, pod których opieką kilkasmych wychowali pokoleń“ (t. III, str. 268). Żywym dowodem Abraham Ilski, („Pustelnik w Promiannach“). Dawniej! o dawniej! i nie tak bardzo dawno jeszcze, żyliśmy w złotym wieku! Hasłem naszym było, „kochajmy się!“—Dziś hasłem „kąsajmy się, spotwarzajmy, obrzydzajmy wszelką pracę dla dobra ziomeków i kraju podjętą“.

Czyżby i temu Francuzi winni byli? Istotnie, partye, na które się rozbijamy i które w imię miłości kraju szarpia się wzajemnie, wytrzymać mogą dosadne i rubaszne porównanie księdza kaznodzieli do chartów księcia „Panie kochanku“, co się na śmierć, ze zbytnej żarliwości zagryzły. Lecz czy dawne, tak pięknie przy kielichu brzmiące, tak suto winem i miodem oblewane hasło: „kochajmy się“, zapobiegało zajazdom, konfederacyom, partyzantce, szkalowaniu się wzajemnemu. Ale Chodźko nie bawi się w takie drobnostki jak historyczne dociekania. Hasło podoba mu się, jak podobał jaskrawy koloryt i śmiały a oryginalny rysunek zjawisk, które opisywał, a filozofia Chodźki obraca się na aksjomacie, że „zło nie ma zasady w prawach boskich“, a zatem „skutki i czyny zła nie są ani wie-

czne ni długie (t. II, str. 431), więc i filozofowie, autorowie i poeci XIX wieku nauczą ludzi wierzyć i kochać“ (t. III, str. 493). Zkąd ta pewność? Ztąd chyba z postępem zrywać, bądź co bądź, nie wypada. Chodźko tak samoistny gdzie idzie o twórczość artystyczną, gdy idzie o zasady, o przekonania, zdobywa się zaledwie na niedołężne komunały, staje się echem biernym tego, co słyszy! Zresztą, wrodzona mu trzeźwość, która tylko przed filozoficzno-społecznymi wywodami daje nurka, ostrzega go, że na drodze postępu, bądź co bądź, stawiać tamy niebezpiecznie, „bo obali nieprzepartą siłą i zdepcze“. Dogodniej obwieścić coś pośredniego. Jak raz nawinął mu się pod pióro „postęp chrześcijański“—i to go wybawia z kłopotu. Teraz za przewodnika postępu XIX w. — o ile się zrazu zdawało, tak bardzo artystę niezadawalającego — wskazuje krzyż, snuje kilka mglistych frazesów na cześć „grobu“ i zamyka wyczerpaną, czyli raczej umysł jego wyczerpującą kwestyą.

Filozofia zresztą dogmatyczna była właśnie w obiegu u nas pod tę porę, w której tworzył drugie „Pamiętniki kwestarza“. Wiara bezwzględna, dziecięca, przynęcała jako port zbawienia i to pokolenie tułaczy naszych, któremi wypadki pierwszej połowy bieżącego stulecia, rzucały po Europie jak liśćmi zwiędłymi, zdartymi z drzewa rodzimego, i te, które doma siedząc, zapadły w drzemkę umysłową, beczynne i do snu kołysane, łzawemi piosnkami i baśnią czarodziejską, zaświatową. Pod kołysanka-

mi temi i rozkładowemi wpływy życia zwartego w najciaśniejszego partykularyzmu ramach, ludzie— i to najlepsi! miękli, rozkwilali się chorobliwie, ja-gnięcą czułość przeciwstawić gotowi rozbukanym orkanom dziejowym. Lecz, że trzeba się było na czemś wesprzeć, filozofia pomiędzy 1830 a 1840 rokiem, zahaczywszy o filozofię niemiecką, zapragnęła wiarę oprzeć na rozumie, a rozum i naukę na wierze. Teologia wniknęła w poezję, jak tego żywy przykład widzimy z jednej strony na późniejszej twórczości Bogdana Zaleskiego i Lenartowicza z drugiej na pierwszych improwizacjach Deotymy. Katechizmowa dogmatyczność została osiłą umysłową, a uczucie podniesiono do niezłomnej potęgi, nie bacząc, że zostawione samemu sobie, przepala się na sentymentalizmu żuźle. Był to proces naturalny, nieunikniony. Melodramatyczność stała się modą, zarazą, wniknęła aż pod zamaszyste pióro Chodźki, w „jubileuszu”, w „duchu opiekuńczym”, w ekli-wych jego kochankach, w rozkwileniu jakimś nie szczerem. Etyka uplotła się z komunalów, została powierzchowną, nie pogłębiła się. Chodźko naprzy-kład, którego pióro pociągają nieprzeparacie „kadu-ecznie hajdamackie” czasy, powstaje na junakieryę, europejskim „arcy-hajdamaką” — bardzo zresztą trafnie—nazywa Karola XII, ale owo hajdamactwo przypisuje brakowi ortodoksji. Oto, pisze: „Stłu-mione gorliwością katolicką pierwszego Wazy i Je-zuitów, różnowierstwo, znalazłszy opiekę w Adolfie i Karolu, podniosło głowę, dając powód do wzaje-

mych nienawiści i odwetów. Ztąd powstało w kra-ju hajdamactwo” (t. III, str. 10).

Innych historycznych poglądów nie mogliśmy się od niego spodziewać. Znajdujemy wprawdzie tu i owdzie dosadne słówko, piętnujące społeczne przy-wary, znajdujemy szerokie, ekliwe i banalne wy-rzekanie na pychę, na lenistwo, na sobkostwo, na wychodzenie ze swego stanu, na życie nad skalę, na „plagę, która nawiedza klasę uboższą, której sy-nowie idą w świat szukać nie chleba, ale pieniędzy” (t. II, str. 446). Plaga ta jednak, wówczas tylko wydaje mu się gangreną społeczną i ekono-miczną, gdy idzie z dołu. Już to ci nasi sentymentalni ideologowie z pierwszej połowy bieżącego stu-lecta, rozkwilając się nad patryarchalnemi cnotami „ludku”, ludek ów chcieli by utrzymać przez wiek wieków w enocie ubóstwa ekonomicznego i—ducho-wego. Że odrywanie się wieśniaków od roli ma swoją złą stronę, temu zaprzeczyć trudno. Że po dziś dzień stosunki społeczne, ekonomiczne i inne, tak się u nas układają, iż pół oświata lub fałszywa oświata, a co najgorsza obca, wroga, nie swojska, czyhająca na ogromną większość dzieci ludu, przy-czynia ubytek cywilizacji prawdziwej, szczęściu i moralności jednostek spokojowi i bezpieczeństwu ogółu, że się fatalnie odbija na ekonomicznym sta-nie kraju, to pewno; lecz było to prostem i nieuni-knionem następstwem naszej politycznej, zwłaszcza na Litwie niedoli i nie narusza zasady, by kmięć miał szukać i „chleba” i „pieniędzy”.

Poszukiwanie zresztą tego szatańskiego kruszcu gdzieindziej nie zbyt razi sentymentalnego autora „obrazów litewskich”. Ekonomiczne wycieńczenie kraju przy karmazynowych ferezyach, brylantowych spinkach, kosztownych furdymencie, iluminacyjnych w Nieświeżu, a co za tem idzie i w szlacheckiej imci pana Sulistrowskiego Szemetowszczyźnie, przy potokach miodu, zalających rynki miasteczek, w których gromadzi się sejmikująca szlachta, stołach, ugnających się pod jadłem, spienionych puharach, po których okładają lodem dymiące się łby wojewodów i mniej dostojnych panów — nie razi go. Raz zaglądnął do bogatego żmudzkiego chłopca, drugi skarcił batogiem Radziwiłłowskim złego ekonomy i to mu wystarczyło. Uspokoił się, wyprowadził wnioski: jeśli bracia szlachta biesiadują ustawicznie, dostatek być musi w kasie, dobrobyt w każdym zakątku kraju. Zresztą... Ten co tak prześlicznie malował dwory i dworki, ani jedną czarną kreską nędzy nie zszpecił harmonii swego dzieła. Kreska ta wprawdzie przewija się spodem, natrętna, coraz wyraźniejsza, ujawnia się przed czytelnikiem choć ją pominięto, i dlatego może, że ją pominięto, ujawnia się tak wyraźnie, ale to już wpływa nie z intencji pisarza, tylko — z winy jego talentu, wiernego do ostateczności malowanym wzorom. I teraz, gdy idzie o zjawisko codzienne, należące do epoki, w której żyje, ten tak szeroko o zaletach skromnego bytu rozprawiający pisarz, tak czuły na „gangreny idące od dołu”, nie zbyt

się gorszy, gdy pan prezydent („Ranek przed ślubem”) targuje się z przyszłym zięciem o intercyzę i gotów zerwać ułożone małżeństwo córki. Szumną tyradę przeciw zbyt kom wklada wprawdzie w usta pieniacza i krętacza („ostatnia sesja ekshibicy”), najniesympatyczniejszej ze swych figur, i jakgdyby umyślnie — co się Chodźce nader rzadko zdarza — na czarno podfarbowanej, lecz nie może zdecydować się puścić z kwitem bankruta ratuje go bogatym ożenkiem. Gromi lenistwo, zachwala pracę, ale obraca się najswobodniej w bawiącym się bez troski o jutro kole, nie może się powstrzymać od apoteozy kielicha (t. I, str. 143) i woła z niudnym zapalem: „o, gdyby choć raz jeszcze, wiedząc za sobą dawną szczerą wesołość i ochotę, zjawił się on między tym szklanym lasem, którym się lśnią stoły nasze; zwałiby zapewne za jednym zamachem i pokruszył to mnóstwo cienkich i delikatnych smoczków, które go zastąpiły i wszystkich słabych tegożczesnych pijaków, którymby odrazu dogodził”.

Więcej jeszcze, niż filozoficzne niedołęstwo, niż zamęt w społecznych i etycznych zasadach i wyobrażeniach, razi czytelnika obojętność Chodźki na rzeczy, obchodzące ogół, na kwestye palące, dotkliwe. Obojętność ta źle się zasłania sentymentalną deklamacją lub sumarycznym, banalnym wyrzekaniem na złe czasy. W każdym z jego utworów nie znajdziemy ani jednego słówka, w którymby drgnął ból piekący, co przepalił serca i istnienia jego współczesnych. Jest to tem dziwniejsze,

że kocha on i kocha gorąco ziemię swą, kocha jej strumienie, lasy, świetne, legendowe podania, jej zewnętrzna szatę. Miłość tkliwa dziecka, co usty u skraju mateczynnej szaty zawisło, obojętne na synowskie obowiązki, nieświadome położenia rodzicielki, bólów i cierpień. Jeśli mu żal czego, to tego chyba, że szata mateczyna spłowiła, że w przynależnych dziejowych ten i ów klejnot odpadł od mateczynnej skroni. Wtłoczonej na nią cierniowej korony i krwawych piętn, zdaje się nie dostrzegać... „Dwie konwersacje z przeszłości”, z których pierwsza jest artystycznym cackiem, ciekawe dają temu świadectwo.

W pierwszej konwersacji z niezrównaną plastyką występują panowie Chomińscy i wojski Oszmiański, ogłuszają słuchacza potokiem swojskiej, wybornej werwy. Gdy jednak, w pamięci czytelnika, przemknie historyczna doba, w której pan wojski tak wesoło, swobodnie, bez troski gwarzy z gośćmi, zdziwi się i zawiedzie w nadziejach, gdyż mężowie ci, tak zacni, sympatyczni, piastujący publiczne urzędy, zdają się nie dbać o dobro publiczne. Ten „koncepuje tragedye i fabuły“, ów wyborni rusza koncepty, a ten znów słucha z milem, naimnym zdziwieniem. Piją, palą fajki, śmieją się, pasów popuszczają, a jeśli spoważnieją na chwilę, to, aby roztrząsać proces... Chomińskich z Brzostowskimi. Takie to już były czasy! To, co obecnie dla nas jest zgrozy pełną historyczną dobą, dla współczesnych było bieżącą chwilą. Wypadki

donośne, na które spoglądamy przez pryzmat historii, niewidzialnymi zdają się dla tych, których cieniem swym obwijały, zsuwając się na nich. Nietylko u nas, lecz wszędzie tańczono na wulkanie i czemuż panowie Chomińscy i wojski Oszmiański nie mieli gwarzyć swobodnie, wesoło w Dziewiętni, gdy w Wersalu pani Gramont wybuchała śmiechem na złowrogie Cazot'a przepowiednie, bohater, książę Józef Poniatowski, z obozu wymykał się na bale do Warszawy, a w Grodnie asambлом, galanteriom końca nie było, w dniach ostatniego sejmku... Tam kotyliony, tu waltornie i fujarki głużyły podziemne huki ostatniego aktu rozgrywającej się od dawna tragedyi. Sami tylko aktorowie nie widzieli, że tragedye grają. Mogła się na szali losów wahać „fallax fortuna“, w Dziewiętni błogo było, sielsko, świeżo, a wojewoda Chomiński wołał:

„Szczęśliwy, kto na łonie domowej ustroni

Przed krajowych się niezgód nawałnością chroni“.

Noc spuszczała się. Dla nich był to „wieczór cichy, miły, spokojny“. Goście wojskiego odjechali, słowik ozwał się w ogrodzie, strumień szemrał po kamieniach i „na ganku to głośniejsze, to cichsze odzywało się mruczenie: *Omni die, Die Mariae, mea laudes anima*“.

Dreszcz przebiega pomimowoli po czytelniku, który ręczyć może, że ów niewinny, choć jak gołąb siwy starzec, w białym żupanie i kontuszu, ani

wie, ani się domyśla, jak długą, ciężką i ponurą będzie ta noc dziejowa, która się nań spuszcza i pochłania go...

Lecz o tę niedomyślność niepodobna posądzać, ani nią zasłaniać trzech młodzieńców, co w kilkadziesiąt lat potem zebrali się w tem samym miejscu, w altanie ogrodowej, którą pan Edward (Odyniec) *Helikonem* nazywa. Towarzyszą im „Młodość, wiosna i miłość! trzy pokusy życia ludzkiego, trzy nadobne siostry, same uwieńczone kwiatami i wieńczące młode czoła. Gdzie one są razem, wnet tam jest czwartą *poezya*“...

Nadobna kompania! Czemuż dobre te wróżki, za pomocą których człowiek działa wszystko, co dobre, szlachetne i wzniosłe, czemuż te siostry niebiańskie, dające siłę tytaniczną i natchnienia wloty, autor nazywa „pokusami“? Bo też i młodzieńcy nasi rozkoszują się na zabój wiosną, młodością, miłością i poezją. Każdy z nich zakochany — wedle mody, epoki, sentymentalnie, sztambuchowo, ekliwo. Żywszego tętna serca, porywu krwi i namiętności, czy wyobraźni głębszego uczucia nie trzeba tu szukać. Romanse odgrywają się przy kawie z sucharkami, wśród przechadzek około „Helkonu“, przy smakowitym podwieczorku z kureczętami, szparagami, szczupakiem i tak dalej. Wszystko w ramach rutyny, nawet poezya, o której trzej ci kochankowie muz rozprawiają wiele, bardzo wiele, też przy sucharkach, kawie, podwieczorkach, o których ci podwójni sybarycy ducha i smakosze, nie zapomina-

ją wcale przy miłosnych i poetycznych zapalach. Filozofują zresztą mimochodem i najwybitniejszy w tej trójce przedstawiciel poezyi i nowego, świat i piśmiennictwo przenikającego technienia romantyzmu, młodzieńki podówczas A. E. Odyniec, wygłasza, że „gdzie niema religii tam nie ma i poezyi... Wiek XVIII zatem wyzuty z jednej, nie mógł mieć i drugiej... Dziś poezya we wszystkich ludach chrześcijańskich musi stać się religijną, a zatem będzie narodową, bo religia jest narodowością powszechną...“

Nie wiem, czy tę niejasną „proroczę deklamacyą“ (t. III str. 450) rozumiał pan Ignacy (Chodźko)? Zdaje się, że przeciw niej zaprotestowały jego trzeźwe na sztukę poglądy. „*Quo tendis?*“ pyta przyjaciela, gdyż mu bardziej po sercu określenie szkolne ks. Golańskiego: „Co jest poezya? jest naśladowanie natury.“ Religijno poetyczny kosmopolityzm zresztą grozi narodowym wyłączeniom, w których usługi Chodźko ma zaprzędz pióro swe i talent. Oprócz kochania się, jedzenia, dyskusowania o romantykach i klasykach, jest tu jeszcze nieco wspomnień z epoki Napoleońskiej... I nie więcej? Żadna gorycz nie zatrąwa tych sielskich słodyczy, żadna zaduma nie pochyła ku ziemi, lub nie podnosi ku niebu tych czół młodzieńczych, uwieńczonych miłością, wiosną i poezją? Żadna. Druga konwersacya jest zwierciadłem, w którym odbiła się, w całej swej nagości odrośl pokolenia wzrosłego na ruinach, którego zadaniem życiowem

było bawić się, modlić, kochać, jeść, a w najlepszym razie poetyzować.....

Trzydzięci lat minęło — zapiszmy w pamięci te lata. Znów „około okrągłego stołu w altanie“ w Dziewiętni, zasiedli, po raz ostatni społem, trzej przyjaciele: pan Ignacy, pan Julian i pan Edward. Nie są to już młodzieńce, którym amory i poezye mogły zaproszyć oko. „Czas posrebrzył włosy pierwszego, drugiemu przerzedził je na głowie, trzeciemu wyrzył na czole i wyraził w oku nałóg głębszych zadumań i wewnętrznej pracy ducha“ (t. III str. 475). Istotnie spoważniali i w skupieniu słuchają ostatniej pieśni „Boskiej komedyi“, w przekładzie Korsaka. Każdy z trzech w szczerości ducha, na zapytanie: *unde venis? quo tendis?* odpowie że „przyszedł natchniony łaską Bożą i szedł z miłością w sercu“. Każdy ma wzniosłe przekonanie o powołaniu, ba! o „posłannictwie talentu“ (t. III str. 491). Czemuż każdy działał tak mało, z hasłem przewodniem działać mogąc tak wiele? Słuchajmy szczerzej, wylanej przyjaciół rozmowy. Jak w dwóch pierwszych konwersacyach tak i w tej ani jedno słówko nie zdradza, aby miłość, którą mężowie ci wyznają i w sercu noszą, wielką była lub głęboką. Rozproszyła się na ogniki drobnych ukochań iskra, co rozpalić winna była wulkany. Myśl ich obraca się w jałowych lub ciasnych kołach osobistych wrażeń, nie a nie nie zdradza, aby ją zaprzętały sprawy, obchodzące szeroki, a przeciwieź blizki im, pokrewny ogół.

„Człek każdy — pisze gdzieś Chodźko (t. II str. 47) — jest zagadką, której słowo ukryte przed światem a często i przed sobą samym nosi w najgłębszej tajni swojego serca. Słowo to zawiązuje się tam, jak płód w żywocie matki, w najpiękniejszych dniach wiosny życia jego. Karmi go młodzieńiec, a potem dojrzały mąż, najczystsza treścią swojej krwi... Póki tego słowa w człowieku, póty i szczęścia“... Trafnie można rzecz tę określić, mówiąc, że owo *słowo* tajemnicze, będące treścią wewnętrzną człowieka, jest miarą jego wartości, dźwignią do *maximum* skali jakiej osiągnąć może. Niech *słowo* puste będzie, pospolite lub zagniatwane, niech ciche będzie lub egoizmem stłumione, a człowiek, chociażby hojnie obdarzony talentem, nie wzniesie się na szczytne wyżyny. Jeśli *wielkie słowo* „w dniach wiosny życia“ nie wpadło w łono Chodźki, jeśli „młodzieńiec i mąż dojrzały“ nie wykarmił go najczystsza treścią krwi swojej, aby położyć je na swym grobie jako pieczęć dostojności, nie jest to tylko winą zewnętrznych wpływów, o których mówiliśmy wyżej. Prawda, że Chodźkę wykarmiło filozoficzno-społeczna reakcja. Lecz dla czegoż lgnął do wszystkich wiek nasz przebiegających reakcji? Przyciągają one zwykle umysły słabe. Sły też zawsze od arystokracji, gdy w stanie szlacheckim, zwłaszcza wśród młodzi, przejawiały się prądy wolnomyślne, demokratyczne. Samo piśmiennictwo, z romantyzmem, zdemokratyzowało się, wyzwoliło, podnosząc pierwiastek ludowy i zrywając

z rutyną, starą piastunką wyłączności. Walka pomiędzy przeciwnymi sobie prądy trwała, a były chwile, że wybuchała gwałtownie. W 1818 roku, pod przewodnictwem marszałka trockiego, Michała Römera, szlachta, same karmazyny, że użyję miłego Chodźce wyrażenia, Zawiszowie, Chreptowicze, Mirsey i innych wielu, wzięła inicjatywę do usamowolnienia ludu, pomimo oporu takich, jak Lubeccy legitymistów i wzbogaconych świeżo półpanków Puśłowskich. Ruch piśmienniczo-społeczny ożywił się i zaostrzał. Wznowiony w Wilnie uniwersytet stał się ogniskiem oświaty. W „Wiadomościach brukowych“ Towarzystwo Szubrawców, chlostało niemiłosiernym dowcipem przesady i przywary społeczne. Wolnomularstwo rozprzestrzenia się wszędzie. Chodźko być musiał — i któż podówczas nie był! — wolnomularzem niższego stopnia. Za to tylko ręczyć można, że „farmazonem“, w przywiązywanem u nas do nazwy tej znaczeniu, nie był nigdy. Należał też do Szubrawców i pod nazwą Wirszajtosa lub Rustykanina, sypał conceptami jak z zaręka w „próbie nowego dykeyonarza“. Dowcip jego, choć ostry, nie wnikając w głąb rzeczy, prześlizgiwał się po wierzchu. Był to raczej, prędko zapomniany wybrk młodości.

Po wolnomularstwie, szubrawcach, sejmikowym ruchu z 1818 roku, mieliśmy filaretów i promienistych: Zana, Mickiewicza, całą plejadę poetów i najszlachetniejszych zapaleńców, z których tyłu wyszło z Litwy. Mieliśmy wiele rzeczy. Były lata,

w których młodzież uniwersytecka, nawet szkolna, paliła się do wielkiego słowa, co gasło z życiem chyba, gdyż nie marzło tam nawet, gdzie Eloë usta nieśmiertelnemi piła ostatnie tehnienie konającego Anhelego...

I tego wszystkiego, tych hardych porywów, tych polotów ducha i śmiałości myśli, tych szamań się rozpacznych, tych ogni, lez i piętn krwawych, z których się splata historia pierwszej połowy XIX stulecia, ani śladu w pogodnem, miejscami wysoce artystycznym dziele autora „obrazów litewskich“. Byłażby Litwa nasza, „piękna i szeroka“ Arkadyą niezamąconej szczęśliwości, odciętą od reszty świata? Wiemy, że nią nie była i być nie mogła. Więc było coś, co przecinało, w pewnej mierze, nie sympatycznej łączności pomiędzy wysoce utalentowanym pisarzem, a tem, co go otaczało? Tem *czemś*—niewątpliwie umysłowe niedobory, które oddziaływać musiały z kolei rzeczy na charakter. W całej części filozoficzno-etycznej i społecznej utworów Chodźki czuć się daje brak stały przekonania, to też nie dziwmy się, że w danej chwili zasady mętne, na pokusę wystawione, zawiodły go — za daleko. Smutne to! Jednak przed mianem „odstępca“, którem go napiętnowano, niech go w części przynajmniej obronią illuzye i nadzieje, któremi się karmił za młodu, gdy znaczna część współziomków jego nieograniczone zaufanie pokładała w sentymentalnym uczniu pani Krüdener, we wskrzesicielu uniwersytetu Wileńskiego, w Aleksandrze I. Te niedo-

bory umysłu i charakteru, tę chaotyczność przekonań i zasad opłacił on zresztą drogo. Talent postawił go w rządzie najpopularniejszych narodowych pisarzy, niedobory te nie dozwoliły mu zostać narodowym wieszczem: „Każde bowiem dzieło, powinno być wyznaniem wiary autora a życie jego praktyką tej wiary”. Sam to powiedział, na stronnicy 453, tomu drugiego zbioru dzieł swych, wydając na samego siebie nieodwołalny wyrok.

Chodźko, skrzętny zbieracz podań, pomiędzy innemi tak opowiada o okopie szwedzkim w Radoszkowicach:

„Szwedzi, ośmieleni kilkotygodniową spokojnością, spali za okopem, usnął też na straży postawiony żołnierz... na śpiących napadł z małą gaską rycerstwa Hryhory Ogiński i w puch ich rozbił. Pobitych we własnym ich okopie pogrzebiono”.

„Otóż powiadają, *relata refero*, że w każdą rocznicę tej porażki Szwedów, a stała się takowa: widują ogromnego Szweda z rusznicą na ramieniu, przechadzającego się w nocy po okopie i sprawującego czaty nad mogiłą poległych braci, podobno za pokutę za to, że zasnął i nie dopilnował ich za życia”.

Śpi snem nieprzespanym, we własnym pogrzebion okopie stan nasz szlachecki! Nad mogiłą poległych braci, niby za pokutę tego, że zasnął i cza-

su swego nie dopilnował, ustawiczne czaty sprawuje autor „Obrazów Litewskich“, i tak stać będzie „póki Litwa żyje“! Rzuca wyzywającą rękawicę przechodniom, badaczom rzeczy społecznych, krytykom, miłośnikom i znawcom sztuki. Istotnie, nieraz czytając go zdaje się, jakoby poszedł o wielki zakład, że tworzyć będzie wbrew rutynie, wbrew zasadom, we właściwy sobie, niedający się naśladować a harmonijny, artystyczny sposób. Dotąd czytano Chodźkę, uwielbiano, lecz studyowano mało. Obecny zarys do studjum głębszego, jakie się należy autorowi „Obrazów Litewskich“, pretensyi nie rości. Cel jego będzie w zupełności osiągnięty, jeśli przypomni czytelnikom, a zwróci uwagę biegłych na pisarza, którego utwory żyłą są złotą dla społecznej i literackiej krytyki.

K O N I E C.

WYCIĄG Z KATALOGU
„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.		CENA	
		w opr. brosz.	
		kop.	kop.
413.	Gen. Roman Sołtyk. KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	30	25
414, 415.	Berta bar. Sutner. DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416.	General kwatermistrz de Pistor. PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417, 418, 419.	Sir Edward Bulwer Lytton. ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
420, 421. Juljusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50
422. W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425. DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników Sieversa	1.20	75
426, 427. OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	80	50
428. LARIK. J. Gadomski	40	25
429. WŁÓCZĘGA W TRÓJKE. Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432. Z. Mórawska. ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
433. Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE. Przeł. Maryi Wentzlowej	40	25
434. Maurycy Barres. POD PIKIELHAUBĄ. Przeł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435. NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów Cabanes i L. Nassa, opracowała K. Płońska	40	25
436. Antoni Gawiński. SEN ZYCIA. Opowiadanie	40	25
437. Kazimierz Bartoszewicz. KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460, 463. Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH. Przeł. z rosyjskiego	4.00	2.50
440. Teodor Jeske-Choiński. MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE. Studium powieściowe	40	25
443. J. Scher. Z KRWAWYCH DNI. (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25

Tom.	CENA	
	w opr. brosz.	
	kop.	kop.
446, 447. Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI. Przeł. M. Łaganowskiej	80	50
449, 457. A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przeł. J. Maciejowskiego	80	50
450. Paweł Doumer. KSIĄŻKA MOICH SYNÓW, przeł. E. Węśławskiej	40	25
451. Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	40	25
452, 453, 454. PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
455, 456. Jerzy Rodenbach. DZWONNIK. Przełożył z francuskiego Zygmunta Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50
459. Kazimierz Rakowski. DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	40	25
461, 462. Grazia Deledda. POPIÓŁ. Przeł. z włoskiego Wili Zyndram Kościalkowskiej	80	50
464. Mark Twain. SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	40	25

Rok 1907.

465, 466, 469, 470. Jerzy Kennan. SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.60	1.00
467, 468. PAMIĘTNIKI KASZTELANA NARCZYZA OLIZARA. Rok 1831.	80	50
471, 472. Faustyna Morzycka. Z DNIA WCZORAJSZEGO. Powieść	80	50
473, 474, 475. Paulina Wilkońska. MOJE WSPOMNIENIA o życiu towarzyskim w Warszawie, z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.20	75

Tom.		CENA	
		w opr. brosz. kop.	kop.
476.	Stanisław Kozłowski. POCHODNIA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem. Wystawiona na scenie Warszawskiej w dniu 16 ym lutego 1907 r.	40	25
477, 478, 479.	Bonawentura z Kochanowa. WINCENTY WILCZEK I PIĘCIU JEGO SYNÓW. Wspomnienia z drugiej połowy osiemnastego i początku dziewiętnastego stulecia	1.20	75
480.	Marion. PAMIĘTNIK. (Strofy liryczne)	40	25
481.	Jerzy Grosjean (deputowany). SZKOŁA I OJCZYZNA, przekład Maryi Wentzlowej	40	25
482, 483.	Zofia Casanowa. (Lutosławska). DOKTÓR WOLSKI. (Kartki z życia Polaków i Rosyan). Przekład z hiszpańskiego H. J.	80	50
